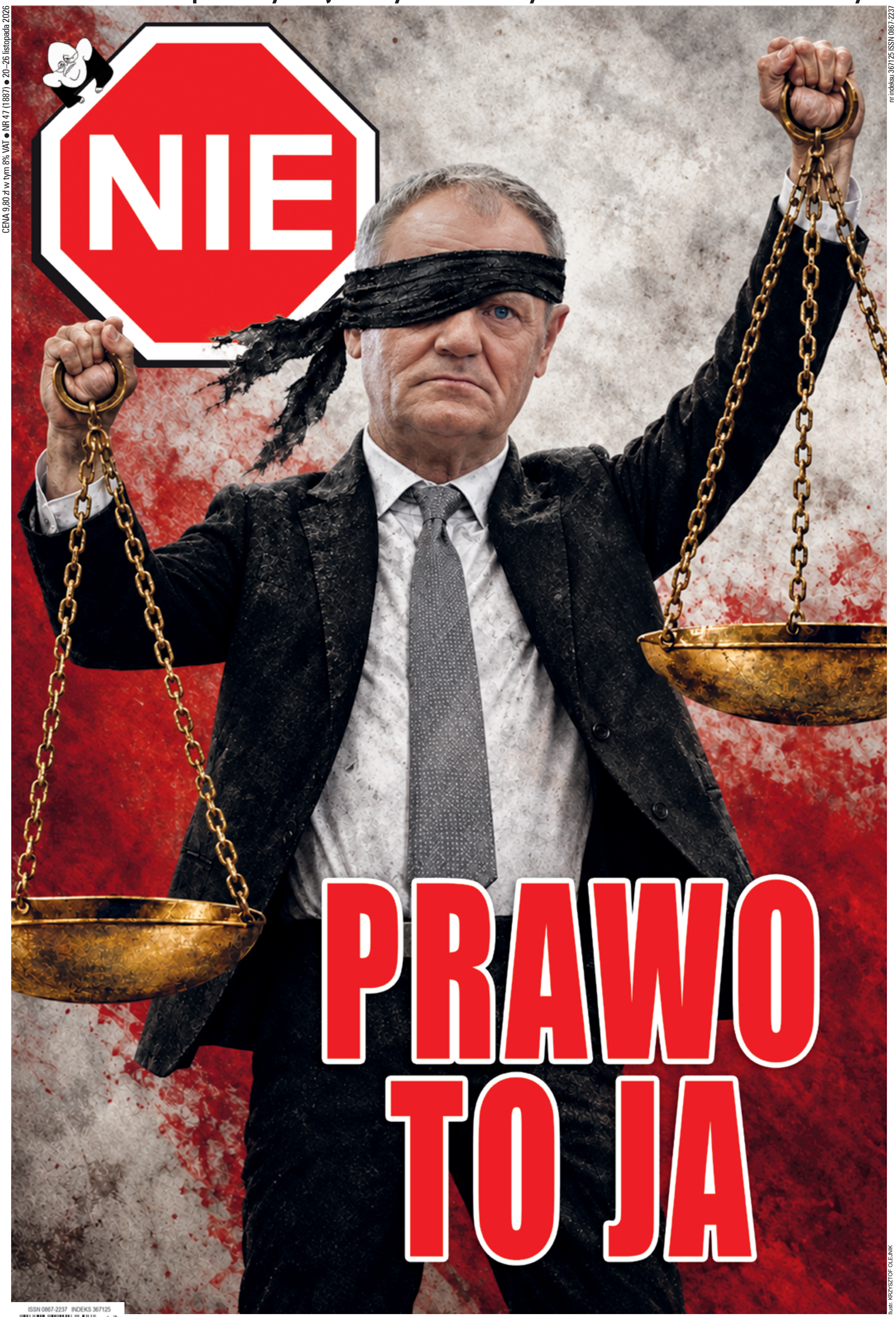
CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 47 (1887) ● 20–26 listopada 2026

Ostrzeżenie! Czasopismo wykazuje relatywizm moralny oraz nie odróżnia swoich od obcych



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 6bb0996a4b

WOJNA DOMOWA

Po nocnych bojach o Trybunał Konstytucyjny zwieńczonych przejęciem stanowiska kierowniczki przez mgr Korwin-Piotrowską „sprawa Trybunału jest zamknięta” – głosił rządowy przekaz tygodnia. Dwie godziny po launczu przekazu dokonanym przez wiceministra Tomczyka w poniedziałkowej porannej rozmowie w TVN24 Narodowy Bank Polski zablokował konta TK, uzasadniając to sprzecznością w dokumentach co do reprezentacji trybunału. Minister finansów natychmiast wyraził oburzenie na NBP, który poprzez finanse chce wpływać na kwestie polityczne, a przecież „TK musi działać, Polacy mają prawo do tego, aby TK rozstrzygał w absolutnie kluczowych dla nich sprawach”. Minister (a kiedy to Państwo czytacie, już zapewne wicepremier) Domański ma sto procent racji, tylko przypomnijcie nam, kto w ogóle wyrzucił finansowanie TK z przyszłorocznego budżetu? Za naszych młodych lat nazywało się to „mentalnością Kalego”, ale dziś już tak nie wolno mówić, bo kontekst jest rasistowski oraz kolonialny.

Wobec faktu, że – powtórzmy jeszcze raz – „sprawa Trybunału Konstytucyjnego jest zamknięta”, a „Trybunał funkcjonuje normalnie” (pamiętacie złotą myśl z „Rozmów kontrolowanych”: „U nas stan wojenny, ale normalizacja postępuje”?), przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej nie poszli do prezydenta – a tak konkretnie do ministra Boguckiego – żeby rozmawiać o resecie. Wraz z tuskowcami nie poszli czarzaści, bo oni ostatnio wszystko robią ramię w ramię. Jak 1. Armia Wojska Polskiego u boku Armii Czerwonej, tylko nieco mniej bojowo. Inni poszli, łącznie z PSL-em, który akurat na resecie by stracił, bo ma w TK sędzię Bentkowską, córkę mecenasa Bentkowskiego, który w rządzie Mazowieckiego reprezentował ludowców jako minister sprawiedliwości, a potem przez pięć kadencji był posłem i senatorem PSL-u. Rodzina nie zawsze najważniejsza, jak się okazuje.

Wracając do awansu Andrzeja Domańskiego, opóźnionego przez Karola Nawrockiego, który równo miesiąc zwlekał z zaproszeniem ministra finansów do swojego pałacu – zręczny zazwyczaj szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, w odpowiedzi na dość natrętne pytania prorządowych mediów, odpalił: „Ta zmiana dawno by się dokonała, gdyby w nocy z 30 na 31 października po prostu Donald Tusk brutalnie nie wszedł do Trybunału Konstytucyjnego, nie dokonał tego brutalnego zamachu na konstytucyjny organ”… Jasne, wszyscy wiemy, że prezydent strzelił focha i dlatego nie wykonał swoich konstytucyjnych obowiązków, ale – tu jeszcze jeden cytat filmowy, tym razem z niezapomnianego „Hallo Szpicbródka” – „żeby się tak sam przyznawał? Bez bicia?”.

Podczas obchodów Święta Niepodległości nikt nikomu nie dał po mordzie, ani tym bardziej z bejsbola, co samo w sobie jest rozczarowujące. Modzi patrioci już nie tacy krzepcy jak za naszych czasów. Jedyną ofiarą była flaga z logiem Lewicy podpalona triumfalnie za pomocą racy przy wtórze patriotycznej przyśpiewki: „Uderz, uderz liberała, anarchistę i pedała” – co można by uznać za wyraz uznania dla wagi formacji, która wszak już dawno nie budzi w nikim żadnych emocji. Z przykrością informujemy jednak działaczy Nowej Lewicy, że ich symboliczne męczeństwo w większości mediów przeszło niezauważone. Tytuły informowały: „Incydent podczas Marszu Niepodległości. Spalili flagę jednej z partii”.

Szoł skradł lewicy Donald Tusk, który zwrócił się do Karola Nawrockiego z ofertą następującą: „Od serca, nie czekając dłużej, chcę zaprosić pana, razem z małżonką, z rodziną, z dziećmi, do mnie do domu w Sopocie. Podzielmy się opłatkiem przed Wigilią, porozmawiajmy, moje mieszkanie nieduże, ale znajdzie się dla nas dwóch miejsce w kuchni przy stole i porozmawiamy, jak to się kiedyś mówiło, jak Polak z Polakiem”. Zgodnie z ostatnim oświadczeniem majtkowym Donald Tusk zarobił w 2025 r. 812 tys. zł, ma też 1,3 mln zł oszczędności. Nie ma natomiast domu ani mieszkania. Gdzie ta kuchnia, gdzie jest ten stół?

Okazało się, że prezydent Nawrocki sprezentował prezydentowi Trumpowi tron. Tron jest czarny, w stylu cokolwiek gdańskim, wysadzany bursztynami i gdzieniegdzie złocony. Dziennikarze, a także co poniektórzy politycy, mieli z tym kupę radości, bo to rzeczywiście wyjątkowe szkaradzieństwo. Nam najbardziej spodobał się komentarz Szymona Hołowni: „Myślę, że ten prezent trafia idealnie w gusta obdarowanego, a przecież to jest najważniejsze, kiedy robi się prezenty”. Mówcie co chcecie o Hołowni, ale jak żaden inny polityk opanował sztukę mówienia impertynencji tak, żeby nie dało mu się nic zarzucić.

AWŁ

BLOG Z URNY BLAGIERA URBANA
WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Listopad 2014 r.



Świętego Saturnina

W rozmowie z moim wspólnikiem politycznym z lat 80. Leszkiem Millerem naczelny redaktor „Super Expressu” nazwał mnie największą kanalią w Polsce. Nie mam drugiego imienia, chętnie więc przyjmę to miano. Istnieje Jan Maria Rokita. Może być Jerzy Kanalia Urban. Szczególnie że tak mnie ocenił wielki autorytet moralny dzisiejszych czasów. Szampon codziennie pieniący się z oburzenia na wszystko. Trener ruchów kopulacyjnych elity. Badacz miesiączek, orgazmów, juror spadających majtek. Zasłużony budowniczy myślicielstwa hołoty. Strażnik bidetów i kustosz fekaliów.

Świętego Saturnina (cd.)

Ja tu o osobach z marginesu, a Czytelnicy się skarżą na brak świeżych wiadomości o pudlu Azorze. Otóż Azor jest zajęty. Układa przemówienie na Wigilię Bożego Narodzenia. Sądzę, że podejmie kwestię wyżywienia.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętego Adwenta

Prawdę mówiąc, każdego roku Azor skarży się tak samo. Lunch psów monotonny. Brakuje deserów. Kolacja podawana w nieregularnych porach. Spacery za płot są za krótkie. Słowem – horyzont ciepłej wody. Nigdy żadnej solidarności z psami zjadanymi w Azji czy maltretowanymi w polskich schroniskach. Żadnej wzniosłej myśli.

Świętej Florentyny

Dobry papież Franciszek góruje nad pudlem Azorem, bo wypowiada skrzydlate myśli. Np. w Parlamencie Europejskim wzywał do przyjmowania uchodźców zza Morza Śródziemnego. Zapomniał jednak dodać, że zapewni im gościnę w setkach tysięcy kościelnych budynków mieszkalnych: pałacach, klasztorach, hotelach, plebaniach Europy. Specjalnością kacyków na Watykanie jest też wzywanie do pokoju i modlenie się o pokój. Nigdy jednak w historii nie zapobiegło to żadnej wojnie ani jej nie przerwało. Kościołowi kat. o wiele lepiej wychodzi wywoływanie wojen. Przykładem krucjaty, wojny kontrreformacyjne, konkwista, czyli rzeź niechrześcijan w Ameryce Łacińskiej. Albo też wzywanie do wojny np. przeciw bolszewizmowi uprawiane przez Kościół niemiecki, włoski, słowacki, węgierski, chorwacki i część francuskiego w trakcie II wojny światowej.

Świętej Wiwiany

Jedynym naprawdę wolnym człowiekiem w Polsce jestem ja sam. Do nikogo nie należę, od nikogo nie zależę ani niczego nie oczekuję. Po śmierci gen. Jaruzelskiego żadnej osobie ani formacji nie jestem winien lojalności. Ogranicza mnie kodeks karny, ale tylko o tyle, że nie chcę siedzieć. Chociaż aresztowanie mogłoby mi sprzyjać, gdyż wszystko obraca się na moją korzyść. Nawet choroby ustępują. Moja wolność jest tak bezgraniczna, że mogę mówić prawdę. Np. że głosowałem na PO. Pisowcy się radują, że tak bardzo tej Kopacz zaszkodziłem takim wyznaniem. A co mi szkodzi szkodzić? Odczuwam taki nadmiar wolności, że już nie wiem, co z nią zrobić. Fromm pisał o ucieczce od wolności, ale mnie bolą nogi.

Świętej Barbary

Górnicy dziś świętują, więc wzbogacają kraj, zamiast przynosić codzienne straty.

Świętego Franciszka

Skarżyłem się już, że powieszono mi naprzeciw łóżka olej – trzy metry bieżące niebieskich marchwi na krwawym tle. Każda jarzyna jest większa ode mnie, końce niektórych rosną już poza obrazem. Okazując wielką cierpliwość i poniósłszy ogromne koszty, wykryłem, że marchwie te sporządziła młoda sadystka artystyczna z Wrocławia pani Anka Mierzejewska. Czym Maciarewicz w polityce, Twardoch w literaturze, Kukiz w dźwiękoróbstwie, Dorota Kania w publicystyce, kwiatki na tapecie, hemoroid w dupie, faszyści w pochodzie, sperma w oku, ząb w bucie, papież w Rzymie, mucha w lodach, dżihad w islamie, robak w jabłku, Kopacz w rządzie lub szankier na chuju, tym Anka Mierzejewska w malarstwie. Oglądajcie płótna Mierzejewskiej, bo potem borowanie zębów bez znieczulenia wyda się wam rozkoszą. To dziś wiocha przypalać cygaro studolarówką. Prawdziwą pogardę dla pieniądza okażesz, kupując bohomazy Mierzejewskiej.

Świętego Xaviera

Zamówiłem w sieci taksówkę. Zajechała piękna dziewczyna. Czyż nie powinno być karane prowokowanie do gwałtów, zabójstw seksualnych lub co najmniej molestowania? A nawet jeżeli pasażer zapłaci i pójdzie, niczego po sobie nie dając poznać, to czyż właściciel sieci taksówkowej powinien dostać rozgrzeszenie? Przez niego tysiące facetów onanizują się z małymi przerwami pod wyobrażenie taxi-seksu.

Świętego Geralda

Czytam „Klub Prezydentów” (USA) pióra Nancy Gibbs i Michaela Duffy’ego. Ciekawe. Np. Gerald Ford nie był wybrany wiceprezydentem przy Nixonie. Prezydent go mianował, gdy Spiro Agnew zrezygnował z tej funkcji, bo miał proces kryminalny. Nixon już wtedy upadał i wkrótce abdykował (Watergate). Ford go natychmiast ułaskawił i za to padł w wyborach. Nixon stracił posadę, bo wyszły na jaw podsłuchy z jego rozmów. Poprzedni prezydent Johnson założył podsłuchy nawet pod łóżkami w Białym Domu, ale włączał je ręcznie pstryczkiem. Nixon skorzystał z nowinki technicznej. Głos podsłuchiwanych automatycznie uruchamiał podsłuch. Przez to Nixon stracił władzę. Światem rządzi pstryczek.

Świętego Geralda (cd.)

Gratulacje dla Biedronia. Świętujemy jego sukces, ale bez ostentacji ze względu na żałobę narodową po zmarłym łosiu. ❑

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Samobójstwo plus

Chcę sprostować (...) przedstawione zdarzenie w Zespole Szkół Ekonomicznych w Kluczborku z 2001 r. („Zabrać chłopcom zabawki”, „NIE”, nr 46/2026). Zdarzenie miało miejsce w sobotę na zajęciach dla dorosłych, kurs policealny. Zazdrosny mąż, nota bene myśliwy, z broni myśliwskiej postrzelił żonę, którą podejrzewał o romans z jednym z uczestników tego kursu. Przeżyła postrzał w nogę, następnie domniemanego kochanka postrzelił na terenie szkoły. Dogonił uciekającego już poza szkołą i – można powiedzieć – dobił go i następnie zastrzelił się. Tak to było pokrótce, znam zdarzenie, służyłem wtedy w policji w Kluczborku. Poza tym artykuł w tzw. punkt i generalnie zgadzam się z linią prezentowaną przez tygodnik „NIE”. Jestem czytelnikiem praktycznie od pierwszego numeru.

Czytelnik, Kluczbork

Szwajcarzy pana prezydenta

W zamęcie wokół Trybunału Konstytucyjnego i wobec zamachu w Krakowie media pominęły szerszą debatę o gwardii prezydenckiej. A przecież pan neoprezydent wyraził życzenie posiadania takiej gwardii. (...) Ustawka w TK wyszła mu średnio, a ochroniarze z SOP-u są od tego, by go chronić, a nie glanować w jego imieniu sędzię Korwin-Piotrowską. Och, gdybyż miał swoich własnych gwardzistów! Takich pięknych, jak mają papieże, w jednolitych barwach. Gotowych pójść za wodzem w siwy dym i wygrać dla niego każdą ustawkę.

Ale w Polsce to się może nie udać. Pan prezydent może cieszyć się sympatią wszystkich kiboli III RP, ale zgromadzenie ich w ramach jednej formacji to fikcja. Przecież ci od Legii natychmiast zaczęliby się tłuc z tymi od Widzewa, a ci od Zagłębia glanowaliby tych od Górnika lub odwrotnie. A bratobójcze walki wewnątrz gwardii nie wpływałyby korzystnie na jej gotowość do walki z wrogami zewnętrznymi: Tuskiem, sędzią Korwin-Piotrowską, elgiebetami, lewakami i wszelkim innym tałatajstwem.

Joanna K., Warszawa



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

PROMOCJA

ALFABET URBANA 2.0
Blisko 200 postaci
To nie jest odnaleziony tekst Jerzego Urbana.
To współczesna kontynuacja formuły „Alfabetu Urbana”, przygotowana przez Gadzinowskiego, Ćwiklińskiego i Jarugę z udziałem Al.
Portrety, złośliwości, polityczne przekłucia i ironiczne diagnozy świata, który zmienił dekoracje, ale nie porzucił swoich śmieszności.
CHCESZ MIEĆ SWÓJ EGZEMPLARZ?
ZAREZERWUJ GO JUŻ TERAZ
ZADZWOŃ: 668 935 668
lub napisz: alfabet@tygodniknie.pl
tygodniknie.pl/alfabet
zeskanuj kod
Pierwszy próbny nakład – tylko 1000 egzemplarzy

eprasa.pl 6bb0996a4b

My już są Amerykany?



Militaryzacja polskiej policji

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„My już są Amerykany, my są pany” – śpiewał Paweł Kukiz w jednej z piosenek Piersi w czasach, zanim pokarało go odebraniem rozumu. Po latach okazuje się, że Amerykanami i panami naszych ulic chcą być polscy policjanci, wykorzystując tragedię krakowską do promowania swojej dość wątpliwej agendy, która jest skrajnie niebezpieczna.

Prawie dwie dekady temu Naomi Klein napisała książkę „Doktryna szoku”, wykazując, że w chwili, gdy większość ludzi po jakimś tragicznym wydarzeniu jest w stanie wstrząsu, spryciarze wykorzystują okazję, aby wprowadzić dalekosiężne zmiany bez żadnej debaty i zbędnych pytań, korzystając z chwilowej dezorientacji społeczeństwa. Stawiam tezę, że właśnie zamach krakowski jest z rozmysłem – by nie powiedzieć: cynicznie – wykorzystywany do militaryzacji polskiej policji na wzór amerykański, co musi przynieść opłakane skutki.

Broń długa, rozum krótki

– Zależało mi na tym, żeby policjanci byli dobrze zabezpieczeni, żeby wszyscy mieli odpowiednie kamizelki, hełmy, broń długą. Posiadanie broni długiej to po pierwsze szkolenie. To jest miasto. To by wymagało szkolenia. Po pierwsze szkolenie, po drugie ją trzeba zabezpieczyć, bo nie każda interwencja może być z użyciem broni długiej – opowiadał komendant główny policji gen. Marek Boroń po zamachu w Krakowie.

Pouczający w kontekście nowych żądań dozbrojenia policji jest artykuł w serwisie InfoSecurity24 zatytułowany po prostu „Patrolowy paradoks, czyli dlaczego policjanci potrzebują broni długiej”. Jego autor Jakub Palowski podkreśla, że szeregowi policjanci powinni być przygotowani do interwencji z użyciem broni długiej: „Po zdarzeniu w Krakowie mówi się – co zrozumiałe – o zagrożeniu terrorystycznym, ale tak samo jest w wypadku zdarzeń czysto kryminalnych. Jeśli dojdzie do napadu z użyciem broni czy porachunków grup przestępczych, to jako pierwsi na miejscu zdarzenia będą policjanci z prewencji i to z lokalnej jednostki. I to oni będą musieli odpowiedzieć na zagrożenie, na przykład prowadząc pościg”…

Wiceszef zarządu centrali NSZZ Policjantów Andrzej Szary powiedział mediom, że policjantom trzeba kamizelek, tarcz kuloodpornych i broni długiej. Tak ma być i koniec. Szary zaznaczył stanowczo: „Ten, kto oponuje, nie powinien się w tej sprawie wypowiadać”.

Wtórował mu kolejny policyjny związkowiec, aspirant sztabowy Przemysław Matczak, który w rozmowie z Wirtualną Polską skarżył się: „Wielokrotnie kierowaliśmy w tej sprawie pisma i przedstawialiśmy konkretne postulaty, ale problem był lekceważony. Każdy radiowóz prewencyjny powinien być wyposażony w karabinek typu AR, tarczę balistyczną, kamizelki kuloodporne oraz defibrylator. To nie są żadne luksusy ani zbędne dodatki, lecz podstawowe wyposażenie umożliwiające skuteczne działanie w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia”.

Politycy nie zawiedli i pośpieszyli ulżyć niedoli niedozbrojonych funkcjonariuszy. Rozwój Plus przedstawił, jak chwalił się w mediach społecznościowych, konkretny plan: „broń długa dla policjantów; nowe, lepsze kamizelki balistyczne; dodatkowe wyposażenie ratownicze; radiowozy z osłoną balistyczną; więcej szkoleń dla funkcjonariuszy; wsparcie państwa dla policjantów używających broni i działających zgodnie z prawem. Odwaga nie zatrzyma kuli! Chrońmy tych, którzy chronią nas”.

Chcąc uczynić zadość płynącym zewsząd postulatom, szef MSWiA Marcin Kierwiński zapowiedział więcej patroli policyjnych z policjantami z długą bronią. Naród odetchnął z ulgą.

Chciałabym jednak złośliwie wyłączyć się z tego chóru, pokazując realne skutki militaryzacji policji na przykładzie Stanów Zjednoczonych. Jest to nader pouczająca historia z morałem.

Los Angeles jak Bagdad

Amerykanie nie bawią się w półśrodki. W USA wszystko musi być największe: cycki, telewizory czy samochody. Najpotężniejsze zatem musi być uzbrojenie policyjne. Dlatego już w latach 90. Departament Obrony dozbroił siły policyjne, przekazując funkcjonariuszom wiele tysięcy sztuk sprzętu wojskowego: pojazdy odporne na miny, samoloty, śmigłowce, karabiny szturmowe, granatniki i bagnety (!). Wszystko to w ramach niesławnego programu 1033, umożliwiającego transfery sprzętu i uzbrojenia od armii do służb policyjnych.

Amerykański uczony Peter P. Kraska definiuje militaryzację jako przyjęcie i wdrażanie ideologii, która kładzie nacisk na użycie siły jako właściwego i skutecznego środka rozwiązywania problemów. Wymienia on cztery wymiary militaryzacji: materialny, kulturowy, organizacyjny i operacyjny. Wszystkie one wzajemnie się wzmacniają.

Jak zauważa Casey Delehanty w artykule naukowym z 2017 r.: „Wraz z nowym sprzętem nasila się język wojskowy (wymiar kulturowy), pojawiają się struktury wojskowe, takie jak jednostki elitarne (wymiar organizacyjny), oraz wzrasta gotowość do angażowania się w sytuacje wysokiego ryzyka (wymiar operacyjny). Sprzęt wojskowy w naturalny sposób powoduje wzrost liczby szkoleń w stylu wojskowym dotyczących tego sprzętu. Szkolenia te mogą z kolei wzmacniać pozostałe wymiary militaryzacji”. Jeden z instruktorów tak ujął proces przyswajania kultury militaryzowanej: „Większość z tych facetów po prostu lubi bawić się w wojnę; misje typu »szukaj i niszcz« dają im kopa, w przeciwieństwie do tych bzdur, które zwykle robią”.

Edward Lawson jr w artykule na łamach prestiżowego czasopisma „Political Research Quarterly” jasno dowiódł, że im bardziej siły policyjne w danym miejscu pozyskiwały sprzęt wojskowy, tym częściej sięgały po broń ze skutkiem śmiertelnym. Wedle Lawsona „sposób, w jaki policja wchodzi w interakcję ze społeczeństwem, jest ważną kwestią w demokracji, ponieważ policja jest ucieleśnieniem uprawnień państwa do pozbawiania obywateli praw – łącznie z prawem do życia”.

Niebezpieczna okazała się wojenna retoryka polityczna, która w USA kładła nacisk na dwie „wojny”: z narkotykami i terroryzmem. Jeśli toczy się wojnę, nie w Bagdadzie czy Kabulu, lecz w Los Angeles czy Nowym Jorku, to jasne jest, że jej wygranie musi wymagać stosowania przemocy na masową skalę. A jeśli nawet funkcjonariusz kogoś zabije bez większego powodu, to zagrożenie jakąkolwiek karą jest nikłe.

Jasne jest, że wielu policjantów musi podjąć szybko decyzję – co oznacza, że agresywna reakcja może być dla wygody, nie z realnej potrzeby. Lawson: „W ten sposób funkcjonariusz rozpoczyna od bardziej agresywnej reakcji wobec podejrzanego, a jeśli eskalacja jest konieczna, szybciej przechodzi do coraz bardziej agresywnych reakcji. W rezultacie policja zmilitaryzowana będzie uciekać się do przemocy częściej i szybciej niż policja niezmilitaryzowana, co oznacza, że policja zmilitaryzowana będzie częściej stosować siłę śmiertelną”.

Oczywiście akcja rodzi reakcję – militaryzacja bywa śmiertelnie niebezpieczna dla samych policjantów.

Dziki Zachód nad Wisłą

Abraham Maslow – ten od piramidy potrzeb człowieka – napisał w jednej ze swoich książek, że jeżeli jedynym narzędziem, jakie posiadasz, jest młotek, kuszące jest traktowanie wszystkiego tak, jakby to był gwóźdź. Jest to odzwierciedlenie klasycznego w psychologii „prawa narzędzia”, wedle którego dostęp do określonego narzędzia zwiększa prawdopodobieństwo, że zostanie ono wykorzystane do rozwiązania problemów, nawet jeśli inne narzędzia mogłyby być bardziej odpowiednie.

Złudne jest myślenie, że militaryzacja policji w Polsce przyniesie jakieś spektakularnie pozytywne efekty. Jak widać na przykładzie amerykańskim, nie tylko nie zwiększa ona bezpieczeństwa obywateli, a choćby nawet i samych policjantów. Tu nie idzie o niczyje bezpieczeństwo, lecz o władzę.

Podstawowym sposobem działania policji powinna być rozmowa, budzenie zaufania wśród przeciętnych ludzi, dzięki czemu można zapobiegać wielu potencjalnie niebezpiecznym sytuacjom.

Jeśli postawimy na karabiny automatyczne i wojskowe szkolenie, nie zdziwmy się, że funkcjonariusze będą się zachowywać niczym siły okupacyjne, co szczególnie będzie dotyczyć tzw. złych adresów, czyli – mówiąc wprost – osiedli zamieszkanych przez ludzi biednych.

Takie osiedla często bowiem uchodzą za niebezpieczne i w ogóle problematyczne z punktu widzenia bezpieczeństwa publicznego.

Prof. Ewa Łętowska powiedziała kiedyś, że milicjanci w PRL-u bili nieraz zatrzymanych nie ze względu na jakąś wrodzoną brutalność czy rozkazy przełożonych, lecz brak umiejętności przesłuchiwania. Nie jest wcale oczywiste, czy podstawowym zadaniem funkcjonariusza jest bycie wyśmienitym strzelcem. Jeśli robotę policyjną sprowadzi się do strzelania z karabinów niczym na wojnie, to polskie miasta zaczną przypominać Los Angeles lub nawet Bagdad. Jak trzeźwo zauważył major Howard „Bunny” Colvin z serialu „The Wire”, praca policjanta jest inna od pracy żołnierza.

Warto pamiętać, że łatwo – choć nie tanio! – doposażyć policję, a także ułatwić jej (jeśli nie de iure, to de facto) strzelanie z karabinów do ludzi. Trudno potem z tego się wycofać. No i u podstaw takiego kroku stoi przekonanie, że mundur uświęca i uszlachetnia. Prawacy pod Trybunałem Konstytucyjnym też mogą nie być tego pewni. Wszystkie Czytelniczki „NIE”, którym funkcjonariusze w trakcie Strajku Kobiet pryskali gazem łzawiącym po oczach, mogą mieć na ten temat nieco inne zdanie…

Militaryzacja policji, zarówno mentalna, jak i sprzętowa, to proszenie się o duże kłopoty!

ZUZANNA JURCZYŃSKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Cicho, Władka boli głowa – szepnął Dariusz Klimczak, minister infrastruktury.

Powstał rozgardiasz, gdyż pozostali ludowcy zaczęli się wzajemnie uciszać.

– Cisza – warknęła posłanka Magdalena Sroka.

– Migrena czy coś poważniejszego? – bardzo cicho zapytała wiceministra obrony Magdalena Sobkowiak-Czarnecka.

– Polityczny ból głowy – odpowiedział Miłosz Motyka, minister energii.

Przez kolejny kwadrans ludowcy spekulowali na temat powodów Władkowego politycznego zmartwienia. Albo reset w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, albo stała baza armii amerykańskiej w Polsce.

– Nie będzie ani tego, ani tego – zawyrokował Klimczak.

– To dobrze – dodała Sroka.

– To źle – zaoponowała Sobkowiak-Czarnecka. – Bardzo źle.

– Reset dobrze, baza źle. – Motyka rozstrzygnął spór. – Właśnie dlatego Władka napierdala dynia.

– Jeszcze nie wiadomo nic na pewno – rzekła z nadzieją w głosie wiceministra obrony. – Założę się, że Władkowi minie, gdy tylko zapadnie decyzja. Na tak albo na nie, wszystko jedno. Najgorsza jest niepewność.

– W sprawie resetu chyba nie ma niepewności – przypomniała posłanka Sroka – a mimo wszystko ból mu nie przechodzi.

– W sprawie resetu wszystko jest jasne – z dużą pewnością siebie rzekł Klimczak. – To gra pozorów.

– Dla kogo te pozory? – zapytała Sobkowiak-Czarnecka. – Dla pana prezydenta?

– Dla elektoratu. Wyborcy mają myśleć, że ludowcy są niezależni i samodzielni. Nikt nam nie będzie mówił, co mamy robić ani myśleć.

Odpowiedź Klimczaka spowodowała taki rwetes, że drzwi do gabinetu uchyliły się i stanął w nich wściekły Władysław Kosiniak-Kamysz.

– Musicie tak wrzeszczeć?! – zawołał wicepremier. – Łeb mi pęka.

Ludowcy utkwili we Władkowej głowie zaciekawione spojrzenia.

– Wczoraj było za dużo brandy – wyjaśnił Kosiniak-Kamysz. – A organizm nieprzywykły do alkoholu…

Rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 6bb0996a4b

WOT na celowniku

Czy NIK dobierze się do tyłków Macierewicza i Kukuły?

Antoni Macierewicz nie wymyślił obrony terytorialnej. Wymyślił natomiast jej nową postać, organizacyjną odrębność i polityczną oprawę. W 2016 r., jako minister obrony narodowej w rządzie PiS, rozpoczął tworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej. Nowa formacja stała się jednym ze sztandarowych przedsięwzięć jego ministrowania. WOT otrzymały więc osobne dowództwo, własne struktury i bezpośrednie podporządkowanie ministrowi obrony. Takiego rozwiązania nie zastosowano wobec pozostałych rodzajów sił zbrojnych.

Wojskową realizację przedsięwzięcia Macierewicz powierzył płk. Wiesławowi Kukule, wcześniej dowodzącemu jednostką komandosów w Lublińcu. Kukuła objął to stanowisko 20 września 2016 r. i dowodził WOT do początku 2023 r.

Macierewicz zapewnił więc polityczne warunki i finansowanie, a Kukuła odpowiadał za wojskową stronę przedsięwzięcia. Obaj przedstawiali rozwój formacji jako ogromny sukces. Pierwszy wykorzystał WOT do realizacji swojej koncepcji polityki obronnej, drugi zbudował na dowodzeniu nimi znaczącą część swojej zawodowej kariery. Teraz do tego dorobku trzeba dopisać ustalenia Najwyższej Izby Kontroli.

Kontrolerzy i karierowicz

NIK zbadała osiąganie zdolności do realizacji zadań przez Wojska Obrony Terytorialnej w latach 2023––2025. Kontrolą objęto dowództwo WOT oraz cztery brygady: Podlaską, Warmińsko-Mazurską, Małopolską i Dolnośląską.

Sprawdzano planowanie rozwoju, struktury organizacyjne, wyposażenie jednostek, przechowywanie sprzętu, szkolenia i przygotowanie do wykonywania zadań.

Izba stwierdziła szereg nieprawidłowości. Zaleciła weryfikację dokumentów regulujących funkcjonowanie WOT, ocenę rzeczywistych zdolności bojowych oddziałów i pododdziałów, ponowną analizę założeń rozwoju formacji oraz usprawnienie nadzoru. Nie są to tylko drobne uwagi dotyczące porządku w magazynie. Rekomendacje odnoszą się do podstaw organizacji i funkcjonowania jednego z rodzajów sił zbrojnych RP, który jest budowany od dekady.

W lutym 2022 r., podczas prac sejmowej Komisji Obrony Narodowej, gen. Kukuła informował o realizacji planu rozwoju WOT na lata 2021––2035. W lutym 2023 r. opuścił jednak WOT i został dowódcą generalnym rodzajów sił zbrojnych. Po czym błyskawicznie, bo w październiku tego samego roku, objął stanowisko szefa Sztabu Generalnego WP.

Kontrola NIK dotyczy okresu, kiedy WOT miały już innych dowódców. Nie wszystkie nieprawidłowości musiały więc powstać za kadencji Kukuły. Jednak człowiek, który przez ponad sześć lat budował wojskową instytucję, ponosi odpowiedzialność dowódczą za decyzje podejmowane podczas jej tworzenia.

Naziole i kibole

Kłopotliwe dla obrazu WOT były także doniesienia medialne dotyczące niektórych osób przyjmowanych do tej służby. W czerwcu 2021 r. dziennikarz Onetu Marcin Wyrwał opisał sytuację w 7. Pomorskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej.

Publikacja dotyczyła między innymi wykorzystywania żołnierzy przy „prywatnych przedsięwzięciach", powiązań rodzinnych w jednostce i przyznawania nagród po uważaniu. Znalazła się w niej również sprawa oficera, który zamieścił w internecie swoje zdjęcie w niemieckim hełmie ze swastyką, z pistoletem z okresu II wojny światowej i podpisami nawiązującymi do SS oraz aryjskiego pochodzenia.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Fotografowany tłumaczył dziennikarzowi, że zdjęcie pochodziło z czasów przed wstąpieniem do wojska. Nie uważał, aby propagował w ten sposób totalitaryzm, choć nazwał fotografię głupotą z młodości.

Dowództwo WOT poinformowało o przekazaniu sprawy Żandarmerii Wojskowej. Oficer prasowy brygady przyznał, że przedstawione zachowanie, mimo iż pochodziło sprzed lat, w jego ocenie dyskwalifikowało żołnierza z dalszej służby.

Jest jeszcze sprawa Dawida P., hajnowskiego nacjonalisty związanego ze środowiskiem kibolskim. Jego przeszłość kryminalna jest dobrze udokumentowana. Tylko w takim na przykład 2013 r., utrzymano prawomocny wyrok skazujący go za nawoływanie rok wcześniej do nienawiści na tle narodowościowym i znieważenie policjanta. Za karę pielił grządki w ramach tzw. prac społecznych.

Jakiś czas potem – co już kiedyś opisywaliśmy w „NIE" – Dawid P. miał dostać się do jednego z podlaskich batalionów WOT, zatajając wcześniejszą karalność. Zdekonspirował go i doprowadził do wyrzucenia z woja jeden z oficerów z przeszłością w policji.

Formalne zasady rekrutacji do WOT przewidywały oczywiście niekaralność jako warunek konieczny wejścia w kamasze. Samo oświadczenie kandydata o niekaralności nie powinno jednak zastępować skutecznego sita, które odsiałoby kryminalistów i nazioli. Bo przeszłość kryminalna, działalność w brutalnych grupach kibolskich czy propagowanie ideologii totalitarnych nie stają się mniej istotne po założeniu munduru.

To nie jest kwestia politycznej poprawności. To kwestia odpowiedzialności za powierzanie takim ludziom broni i dopuszczanie ich do wykonywania zadań związanych z bezpieczeństwem obywateli.

Dla wybranych nowe karabinki

Kwestia uzbrojenia WOT to kolejny przykład szczególnej pozycji nowej formacji.

W 2017 r., za rządów PiS, pierwsze partie karabinków Grot przekazano właśnie terytorialsom. Żołnierze wojsk operacyjnych zaczęli używać tej broni dopiero w 2019 r. Podczas uroczystości przekazania pierwszych Grotów w listopadzie 2017 r. Antoni Macierewicz mówił o ogromnym kontrakcie i zapowiadał kolejność wyposażania poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. Najpierw WOT, następnie wojska specjalne, a później wojska operacyjne. WOT były więc uprzywilejowane pod względem terminu otrzymywania nowego uzbrojenia strzeleckiego.

Grot był nową konstrukcją, podlegającą kolejnym modyfikacjom i wzbudzającą kontrowersje techniczne. Kolejność dostaw była jednak decyzją dotyczącą podziału ograniczonych zasobów państwa w tym akurat asortymencie. (Dowództwo WOT pełniło także w latach 2017–2021 funkcję gestora systemu Grot, uczestnicząc w zbieraniu doświadczeń z jego eksploatacji i rozwoju konstrukcji). Tak więc polityczne pierwszeństwo nadane formacji Macierewicza znalazło konkretny wymiar w wojskowych zakupach.

Kasa dla swoich

WOT miały przyciągać ochotników i szybko zwiększać liczebność. Żołnierzom terytorialnej służby wojskowej oferowano wynagrodzenie za dni pełnienia służby oraz dodatkowe świadczenie za gotowość bojową. Sam taki model nie dowodzi uprzywilejowania w stosunku do zawodowych żołnierzy innych jednostek, których wynagrodzenia ustalano na odmiennych zasadach.

Znacznie bardziej wymowne były różnice w finansowaniu zatrudnienia pracowników cywilnych.

W 2019 r. Związek Pracowników Wojska „TARCZA" wskazywał na istotne dysproporcje między środkami przeznaczanymi na wynagrodzenia pracowników WOT a płacami pracowników innych rodzajów sił zbrojnych.

Według wyliczeń związku środki zaplanowane na 2018 r. pozwalały na średnie miesięczne wynagrodzenie pracownika cywilnego WOT w wysokości 4778 zł. W roku następnym planowana średnia zarobków wynosiła już 5618 zł. Związek zwracał uwagę na to, że porównywalni pracownicy pozostałych rodzajów sił zbrojnych zarabiali dużo mniej.

Nie matura, lecz chęć szczera

Militarystyczna retoryka ma jedną zasadniczą wadę. Zbyt łatwo zamienia ludzi w liczby. Liczy się więc szwejów, bataliony, karabinki, terminy osiągania gotowości i procenty w wykonaniu planów. Znacznie mniej miejsca zajmują warunki służby, przeciążenie psychiczne, uzależnienia, konflikty i ludzkie tragedie.

Przy tworzeniu WOT pozyskiwano ludzi z bardzo różnym doświadczeniem. Byli wśród nich cywile bez wcześniejszego przygotowania wojskowego, rezerwiści oraz osoby mające za sobą pracę w służbach mundurowych. I taki model rekrutacji wymagał odpowiednio starannej selekcji i opieki nad personelem.

Pojawiły się przy okazji doniesienia o ewentualnym rekrutowaniu do WOT byłych mundurowych z problemami alkoholowymi. Nie ma jednak publicznych danych pozwalających stwierdzić, że było to zjawisko systemowe. Podobnej ostrożności wymaga również sprawa samobójstw wśród trepów tej formacji. I nie dysponujemy porównywalnymi statystykami, które potwierdzałyby, że samobójstwa występowały w WOT częściej niż w pozostałych rodzajach sił zbrojnych. Nie oznacza to jednak, że problem nie istnieje i że wolno zbyć go milczeniem.

We wrześniu 2026 r. NIK poinformowała o prowadzeniu ogólnopolskiej kontroli pomocy i wsparcia psychologicznego w wybranych jednostkach wojskowych, policji i straży granicznej.

Ankiety przeprowadzano między 23 września a 7 października 2026 r. Badanie dotyczyło dostępności, poufności i przydatności pomocy udzielanej funkcjonariuszom i żołnierzom.

Komunikat nie przedstawiał wyników kontroli ani ustaleń odnoszących się konkretnie do WOT.

Sam przedmiot badania przypomina jednak o odpowiedzialności państwa za ludzi, od których wymaga dyscypliny, podporządkowania rozkazom i gotowości do działania w niebezpiecznych warunkach.

Kult trepowiska

Krytyka WOT nie kwestionuje potrzeby obrony państwa. Nie oznacza to jednak obowiązku akceptowania każdej decyzji ministra obrony, każdego wydatku na uzbrojenie i każdej organizacyjnej koncepcji przedstawianej pod hasłem bezpieczeństwa narodowego.

Przeciwieństwem militaryzmu nie jest bezbronność. Jest nim przekonanie, że wojsko powinno pozostawać pod demokratyczną kontrolą, racjonalnie wydawać publiczne pieniądze i chronić obywateli, zamiast stawać się przedmiotem politycznego kultu.

W tym kontekście istotna jest pozytywna ocena NIK dotycząca działań WOT podczas sytuacji kryzysowych. W operacji FENIKS, związanej z usuwaniem skutków powodzi w 2024 r., uczestniczyło ponad 15 tys. żołnierzy tej formacji. Właśnie te działania pokazują praktyczną wartość dobrze zorganizowanej służby wojskowej.

Nie trzeba jednak organizować politycznych uroczystości wokół każdego karabinka, aby docenić żołnierza pomagającego powodzianom. Działania ratownicze nie mogą też zastępować rzetelnej kontroli przygotowania wojskowego. A dobrze wykonane zadanie podczas powodzi nie jest dowodem prawidłowości całego systemu rekrutacji, szkolenia i dowodzenia.

Kukuła wciąż na górze

Jest jeszcze kwestia usytuowania WOT w strukturze wojskowej. W 2024 r. planowano przekazać formację pod dowództwo szefa Sztabu Generalnego WP. Termin przesunięto, wskazując między innymi na konieczność zmian prawnych, reformę dowodzenia i zadania wynikające z certyfikacji jednostek. Szefem Szta-

Trybunał Niekonstytucyjny

Mam wywrotową propozycję: po co w ogóle nam TK?

Na pytanie, kto w pierwszym rzędzie jest odpowiedzialny za obecną rozpierduchę wokół Trybunału Konstytucyjnego, odpowiedź jest prosta: konstytucja. Wystarczy bowiem porównać poszczególne jej zapisy, aby zauważyć, że niekiedy są ze sobą wzajemnie sprzeczne.

Trójpolówka nie działa

Weźmy artykuł 10, według którego ustrój państwa „opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej". Wynikałoby zatem, że prezydentom, premierom, ministrom i parlamentarzystom wara od sądów i sędziów. Tymczasem wała! Inny bowiem artykuł, opatrzony numerem 183, mówi o tym, że to prezydent powołuje pierwszego prezesa Sądu Najwyższego – wprawdzie spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne tegoż sądu, ale jednak. Według tej logiki, marszałków sejmu i senatu powinien powoływać pierwszy prezes Sądu Najwyższego spośród kandydatów przedstawionych przez te izby. Jednak konstytucyjne wahadło działa tylko w jedną stronę – na korzyść władzy wykonawczej. Żeby omawiane powyżej rozwiązanie było do przyjęcia, należałoby usunąć z konstytucji dyrdymały o trójpodziale władzy.

To samo dotyczy – w poważniejszym stopniu – Trybunału Konstytucyjnego. Fakt, że jego sędziowie są wybierani przez posłów, jest ewidentnym naruszeniem podziału na władzę wykonawczą i sądowniczą. Ów przepis został jednak wprowadzony świadomie, aby dać politykom możliwość wpływania na orzeczenia trybunału poprzez swoich sędziów. A chętkę na to mają zarówno politycy będący u władzy, jak i opozycyjni – dzięki czemu ten proceder nadal kwitnie.

Subtelności

Zaczął rząd platformerski, który w październiku 2015 r., wobec wizji rychłej utraty władzy, wybrał pięciu „swoich" sędziów, choć z kalendarza wynikało, że miał prawo tylko do trzech. Andrzej Duda podbił stawkę i nie przyjął ślubowania od nikogo z tej piątki, zastępując ich upatrzonymi przez siebie prawnikami. Nieco bardziej, kurwa, subtelnie zachował się obecny prezydent, po prostu nie zapraszając na ślubowanie tych sędziów, którzy mu nie pasowali – ale nie zastosował podmianki. Prawdopodobnie dlatego, że nie miał do dyspozycji dublerów.

Wydawało się mu – i nie tylko jemu – że skoro nie złożyli ślubo-

eprasa.pl 6bb0996a4b

bu Generalnego był już wtedy Wiesław Kukuła. Dwa lata później NIK zaleca pilne przekazanie WOT pod jego dowództwo.

Sprawa pokazuje, jak długo może trwać zmiana modelu dowodzenia wojskami, których odrębność organizacyjna była jednym z wyróżników projektu Macierewicza. Kukuła jest w tej historii postacią szczególną. Najpierw kierował tworzeniem formacji, później objął najwyższe stanowisko w Sztabie Generalnym. Jego doświadczenie i wiedza o WOT powinny stanowić istotny element procesu reorganizacji.

W październiku 2026 r. został powołany na kolejną kadencję szefa Sztabu Generalnego. Jego kariera rozwija się więc nieprzerwanie, podczas gdy system organizacyjny formacji, którą tworzył, wymaga zmian wskazywanych teraz przez NIK.

Tajne ustalenia, publiczne pieniądze

Większość wyników kontroli WOT objęto klauzulami tajności. Nie wiadomo więc, czy dokumenty NIK zawierają ustalenia dotyczące rekrutacji osób z przeszłością kryminalną, politycznego uprzywilejowania WOT, problemów alkoholowych lub opieki psychologicznej.

Wiadomo natomiast, że NIK stwierdziła nieprawidłowości w przygotowaniu i funkcjonowaniu WOT, oraz uznała za konieczne podjęcie działań naprawczych. Wiadomo również, kto formację powołał, kto przez ponad sześć lat nią dowodził i kto firmował kolejne etapy jej rozwoju. Powtarzajmy więc do znudzenia: to Antoni Macierewicz ponosi odpowiedzialność polityczną za stworzenie WOT w przyjętym kształcie. A generał Wiesław Kukuła ponosi odpowiedzialność dowódczą za rozwiązania wdrażane w latach, kiedy kierował formacją.

Zakres ich rzeczywistego udziału w powstaniu poszczególnych nieprawidłowości musi zostać ustalony na podstawie dokumentów i ich konkretnych decyzji. W państwie demokratycznym ani politycy, ani wojskowi nie powinni bowiem pozostawać poza publiczną kontrolą tylko dlatego, że zajmują wysokie stanowiska, noszą generalskie gwiazdki i mówią o bezpieczeństwie narodowym. Tym bardziej gdy chodzi o przedsięwzięcie, które przez lata korzystało ze szczególnego zainteresowania polityków i znacznego finansowania.

Wojsko nie jest prywatnym folwarkiem ministra czy generała. Nie istnieje po to, aby potwierdzać słuszność politycznych koncepcji i budować kariery dowódców. Ma służyć obywatelom, nawet takim antymilitarystom jak my tu w „NIE”. Jego pierwszym obowiązkiem powinno być ograniczanie zagrożenia dla ich życia, a nie nieustanne demonstrowanie gotowości do wojny.

JMP

Wsadzę kij w mrowisko: jestem za resetem

Oddajcie, kurwa, mój rower!

Jedyna nadzieja dla Trybunału Konstytucyjnego to pogonienie wszystkich obecnych sędziów i wybranie nowych. Jest mi najdoskonalej obojętne, kto będzie gonił – byleby nowi wymagali tak szerokiego konsensusu, żeby nie odpowiadali do końca żadnej opcji politycznej.

Do resetu przekonał mnie minister Żurek swoją błyskotliwą metaforą o kradzieży roweru. Szło to mniej więcej tak: propozycje resetu „to jest próba mydlenia oczu: no, złapaliście nas, że ukradliśmy ten rower, teraz musimy go oddać właścicielowi, czyli społeczeństwu, no to my proponujemy reset – my trzy dni, wy trzy dni i jeden dzień proboszcz będzie jeździł”…



Rys. TOMASZ WIATER

Nominaci

Powiem Państwu bardzo szczerze: jako społeczeństwo nie czuję się specjalnie usatysfakcjonowana faktem, że na moim rowerze jeździ minister Berek. Nie odczuwam też jakiejś wielkiej dumy z udostępnienia tego sprzętu sędzi Korwin-Piotrowskiej, choć niewątpliwie zrobi z niego znakomity użytek, zważywszy, że – jak wielokrotnie opowiadała z dumą po swym nocnym starciu z prezydentem – ma silne mięśnie środka, bo chodzi na pilates.

Polityczne zaangażowanie Macieja Berka jest powszechnie znane – w odróżnieniu od jego kompetencji do zasiadania w najważniejszym sądzie Rzeczypospolitej mającym rozstrzygać najbardziej wyrafinowane prawne dylematy. Berek ma doktorat, który napisał w wieku lat 44, i to zapewne z nudów, kiedy stracił robotę w rządzie. Nie była to robota prawnicza, tylko stricte administracyjna, a także temat jego doktoratu: „Rada Ministrów jako organ inicjujący postępowanie ustawodawcze”. O tym, że nie jest w stanie udowodnić 10 lat wykonywania zawodu radcy prawnego, wszyscy już wiemy – gdyby mógł, dawno by to zrobił.

Anna Korwin-Piotrowska, która obwołała się kierowniczką TK, prezentuje podobne walory. Zaistniała jako szefowa Stowarzyszenia Sędziów „Themis” zasłużonego w „walce o praworządność”. Bynajmniej tego nie lekceważę: upolitycznianie sądów przez PiS było wielkim problemem, który wymagał odporu, a odpór ów wymagał prycypialności i odwagi. Pytanie tylko, czy odgięcie w drugą stronę – poprzez nagradzanie najbardziej zawziętych antypisistów stanowiskami w organach, których sens tkwi w bezstronności – rzeczywiście jest „przywracaniem praworządności”?

Ostatnie doniesienia na temat p. Korwin-Piotrowskiej nie napawają optymizmem w tym względzie.

Mąciwoda

Sędzia Mariusz Ulman od 2002 r. orzeka w wydziale karnym Sądu Rejonowego w Nysie. W lipcu 2025 r. został rzecznikiem dyscyplinarnym sędziów sądów powszechnych, w dość nietypowej procedurze. „Zobaczyłem ogłoszenie. Napisałem CV i list motywacyjny, pierwszy raz od 25 lat, i wysłałem. Pomyślałem, że nie można tylko narzekać, ale trzeba coś robić” – wyjaśniał w TOK FM. Co szczególne, parę miesięcy wcześniej w tym samym radiu ostro skrytykował Adama Bodnara – podówczas ministra sprawiedliwości – za głosowanie w senacie za ustawą zawieszającą prawo do azylu, przy okazji generalnie surowo oceniając działania MS: „Coraz więcej osób dostrzega, że chyba nie o to nam chodziło, nie o to walczyliśmy przez te lata”. Mimo tej krytyki Bodnar (szacun) mianował Ulmana na rzecznika, co wzbudziło wściekłość opcji ziobrowej, która wciąż głosi, że funkcję tę piastuje pisowski funkcjonariusz Piotr Schab. Do tego stopnia, że zastępca Schaba Przemysław Radzik, także nadal uważający się za urzędującego, wszczął przeciwko Ulmanowi postępowanie dyscyplinarne w związku z „nielegalnym pełnieniem funkcji”. Nawiasem mówiąc, Ulman pobył rzecznikiem dyscypliny przez dwa miesiące, po czym złożył dymisję, tłumacząc ją względami „osobistymi (rodzinnymi)”. Można mieć wątpliwości, czy powiedział całą prawdę – zważywszy, że po objęciu stanowiska mówił „Rzeczpospolitej”: „Nie dam się wciągnąć w tę polityczną wojnę, jeżeli okaże się, że to stanowisko będzie polityczne, to z niego ustąpię”.

W sumie: Mariusz Ulman nijak nie jest neosędzią, czy też sojusznikiem PiS-u. Co jest ważne dla dalszego ciągu opowieści.

Natręt

Ulman – z własnej inicjatywy, co zdaje się dla niego typowe – sporządził opinię o dwóch kluczowych projektach Ministerstwa Sprawiedliwości: ustawie praworządnościowej i noweli prawa o ustroju sądów powszechnych. Procedura opiniowania ustaw opracowywanych przez MS daje sędziom taką możliwość. Następnie – jak twierdzi, zgodnie z instrukcją – wysłał swoją opinię do SA we Wrocławiu. Ale pomiędzy Sądem Rejonowym w Nysie i Sądem Apelacyjnym we Wrocławiu jest jeszcze jeden szczebel: Sąd Okręgowy w Opolu.

„Powiedziano mi, że prezes Sądu Okręgowego w Opolu pani Korwin-Piotrowska nie zgadza się z moimi uwagami i powiedziała, żeby nie przesyłać ich dalej” – wyjaśnił sędzia Ulman „Rz”. W końcu, w efekcie jego natręctwa, część jego uwag trafiła do podpisanego przez Korwin-Piotrowską stanowiska sędziów opolskiego okręgu – ale właśnie: część. Wyleciało np. zdanie o tym, że „projektodawcy zdają sobie doskonale sprawę, że projekt nie ma żadnych szans na podpis prezydenta” , toteż „ma on na celu jedynie wskazanie, że koalicja coś robi, a winę za wszystko ponosi prezydent”. Wyleciała krytyka krótkiego terminu na konsultacje, pośpiechu w pracach, braku konsultowania przepisów ze środowiskiem prawniczym, powielania wad poprzednich projektów. Pojawiło się za to zdanie, w którym autorka raportu odcina się od mąciwody: „Uprzejmie wskazuję, że nie podzielam zastrzeżeń sędziego Mariusza Ulmana”. Zapytana przez „Rz” Korwin-Piotrowska orzekła, że to żadna cezura, tylko „swoiste résumé” złożone z „najistotniejszych kwestii”. Tłumaczenia nie kupują eksperci z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, Fundacji Batorego, Court Watch Polska.

Kierowniczka

I to nie koniec słabości obecnej kierowniczki TK.

Pamiętacie, jak darliśmy łacha z „magister Przyłębskiej”? Korwin-Piotrowska też jest magistrem, a swój tytuł do kierowania TK wywodzi z faktu, iż w 1999 r. rozpoczęła pracę jako sędzia Sądu Rejonowego w Kędzierzynie-Koźlu,

co ponoć czyni ją „najstarszym stażem sędzią” w trybunale.

Smutno to świadczy o stanie tego organu, który powinien wszak składać się z najwybitniejszych umysłów prawniczych w kraju, posiadających największą wiedzę i doświadczenie. Tymczasem jest w nim obecnie jeden konstytucjonalista i jeden profesor tytularny nauk prawnych – i nawet nie jest to ta sama osoba. Konstytucjonalistą jest dr hab. Sławomir Patyra, który już w 2021 r. zasłużył się Platformie, kandydując z jej namaszczenia na RPO bez szans na zwycięstwo. Profesorem belwederskim jest Jakub Stelina, który specjalizuje się w prawie pracy – a kwit dostał od Dudy chwilę po tym, jak jako jedyny spośród dziekanów czołowych wydziałów prawa w Polsce nie podpisał się pod protestem przeciwko pisowskiemu majstrowaniu przy Sądzie Najwyższym. W sumie – Trybunał składa się dziś z partyjnych nominatów dwóch zwalczających się obozów, a większość z nich łączy brak kompetencji do zasiadania w sądzie konstytucyjnym.

Na polskich uczelniach jest ponad 30 katedr i zakładów prawa konstytucyjnego. Polskie Towarzystwo Prawa Konstytucyjnego liczy ponad 160 członków – większość to profesorowie zwyczajni albo choć uczelniani. O doskonałej większości z nich nikt nigdy nie słyszał, poza wąskim środowiskiem kolegów – co czyni ich absolutnie wymarzonymi kandydatami do najważniejszego sądu w Polsce, który powinien rezydować w wieży z kości słoniowej, niedosiężnej dla ochlapującego nas wszystkich błota polityki.

Z wymienionych powodów wnoszę jak na wstępie.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

wania w jego obecności, to nie są sędziami. Obóz przeciwny uznał, że „wobec” to nie znaczy „w obecności” i wystarczy akt notarialny. Jak wtedy, gdy mieszkaniec Szczecina składa przed notariuszem oświadczenie, iż zobowiązuje się do zapłaty należności wobec firmy w Ustrzykach Dolnych – i nie musi w tym celu dymać na drugi koniec Polski. I tak samo może być w przypadku sędziów trybunału – bez potrzeby urządzania sejmowej medialnej propagandówki. Prezydent Nawrocki wprawdzie nie przyjął od nich stosownego ślubowania, lecz jednocześnie jak gdyby formalnie im tego nie odmówił. Niech sobie teraz uczeni prawnicy deliberują nad tym, czy złamał on art. 126, nakazujący mu wykonywanie zadań „w zakresie i na zasadach określonych w Konstytucji i ustawach” – a sędziowie niech sobie w międzyczasie orzekają, skoro już zostali wybrani i spełnili stosowny wymóg ślubowania.

Po co komu trybunał?

Ten obecny burdel trybunalski jest skutkiem aktu prawnego, dotyczącego nieszczęsnego ślubowania, które – zamiast stanowić czynność czysto ceremonialną, umocowaną w tromtadrackiej tradycji majestatu Rzeczypospolitej – stało się narzędziem walki politycznej. Ale być może jest to okazja do postawienia pytania o sensowność samego istnienia trybunału w jego obecnej formie.

Od telewizyjnych komentatorów słyszymy, że Polska nie da sobie rady bez Trybunału Konstytucyjnego. Mam co do tego wątpliwość. Istnieją państwa bez trybunałów konstytucyjnych – i jakoś sobie radzą. W Stanach Zjednoczonych np. o zgodności aktów prawnych z ustawą zasadniczą decyduje Sąd Najwyższy. Podobne rozwiązanie można by wprowadzić w naszym kraju, ustanawiając np. w składzie tego SN Izbę Konstytucyjną.

Powiem więcej: z praktycznego punktu widzenia zgodność prawa niższego rzędu z konstytucją należałoby badać, zanim projekt ustawy trafi do sejmu. Deliberacje na temat konstytucyjności aktu prawnego, który wszedł w życie, to musztarda po obiedzie.

Mało tego: zaryzykuję bluźnierczą tezę, że do stwierdzenia, czy dany akt prawny jest zgodny z konstytucją, niekoniecznie potrzebne są uczone głowy. Czasem wystarczy przeczytać i porównać treści obu dokumentów. I nie trzeba tu być wybitnym prawnikiem. Choć to oczywiście nie szkodzi.

W czasach niesłusznie minionych każdy projekt ustawy, zanim trafił pod obrady sejmu, był wnikliwie badany. Czuwał nad tym prof. Rozmaryn, który potrafił wyłapywać wszelkie błędy i niedoróbki bez całej tej trybunalskiej czapy. Korzystanie z doświadczeń PRL nie ma jednak prawa bytu w państwie, którego doktrynalnym drogowskazem jest „Precz z komuną”.

BOLESŁAW K. JASZCZUK



Rys. WIDGET

eprasa.pl 6bb0996a4b



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wojtyła 2.0

Był już jeden taki Karol, który dobre imię instytucji stawiał wyżej niż bezpieczeństwo dzieci

Teraz mamy drugiego. Tamten miał sekret papieski. Ten ma weto, które chroni algorytmy, wielkie big techy i koncerny medialne. W zamian za brawa od Elona Muska.

Pierwszy został świętym. Między innymi dzięki temu, że kiedy docierały do niego skargi na księży krzywdzących dzieci, wybierał dobre imię Kościoła. Przenosił, wyciszał, awansował. Drugi jest prezydentem RP.

12 listopada Ministerstwo Cyfryzacji położyło mu na biurku „Czarną księgę młodych ofiar platform cyfrowych" z listem pisanym do niego „także jako do ojca". Dzień później zawetował ustawę, która miała te ofiary chronić.

Imię to przypadek. Mechanizm już nie. Obaj Karole, kiedy trzeba było wybrać między wielkimi słowami a dzieckiem, wybrali wielkie słowa. Tamten mówił o dobrym imieniu Kościoła. Ten mówi o „widmie urzędnika cenzora".

Wyobraź sobie czternastolatkę z Opola, której ktoś przerobił zdjęcie z wycieczki klasowej. Dorosły może iść do prawnika i czekać latami. Ona nie ma prawnika. Platforma ma swój regulamin. Państwo nie ma narzędzia, żeby szybko jej coś kazać. Ona ma telefon, wstyd i jedną myśl: tylko nie mów nikomu.

Dlatego piszę o prezydencie Karolu Nawrockim, który 13 listopada drugi raz zawetował ustawę o blokowaniu nielegalnych treści w sieci. I dlatego piszę o Karolu Wojtyle.

Minister Krzysztof Gawkowski postawił już prezydentowi „publiczny akt oskarżenia". Dopiszę zarzut, którego żaden minister nie postawi, bo w Polsce nie wypada: Karol Nawrocki robi dziś w internecie to samo, co Jan Paweł II robił w Kościele. Chroni system, nie ofiary.

Tylko nie mów nikomu

W 2019 r. film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu" obejrzano na YouTubie ponad 23 mln razy. Tytuł to zdanie, które słyszały dzieci krzywdzone przez księży. Rok później „Zabawa w chowanego" pokazała biskupa Edwarda Janiaka, który tuszował przestępstwa podwładnych. Polska zobaczyła ofiary. Nie chciała jednak zobaczyć, kto stał na szczycie tej piramidy. Wolała wierzyć ciężarówkom, które jeździły po miastach i straszyły, że dzieciom zagrażają tęczowi geje.

A stał na szczycie Karol Wojtyła. Według reportażu „Franciszkańska 3" Marcina Gutowskiego i książki „Maxima culpa" Ekkego Overbeeka. Wojtyła już jako metropolita krakowski wiedział o przestępstwach co najmniej trzech księży i przenosił ich między parafiami i za granicę. Jako papież tę samą metodę stosował na całym świecie.

Meksyk. Marcial Maciel, założyciel Legionu Chrystusa, wykorzystywał seksualnie seminarzystów. Listy z prośbą o śledztwo szły do Watykanu kościelnymi kanałami już w 1978 i 1989 r. W 1994 r. Jan Paweł II publicznie nazwał go „skutecznym przewodnikiem młodzieży", a w 2004 uroczyście uczcił jego 60-lecie kapłaństwa. Odsunął go dopiero Benedykt XVI.

Stany Zjednoczone. Kardynał Bernard Law latami tuszował w Bostonie przestępstwa księży. Odszedł dopiero, gdy w 2002 r. opisał to „Boston Globe". Dwa lata później papież dał mu honorową posadę archiprezbitera bazyliki Santa Maria Maggiore w Rzymie. Watykan we własnym raporcie z 2020 r. przyznał, że Jan Paweł II osobiście mianował Theodore'a McCarricka arcybiskupem Waszyngtonu, choć kardynał John O'Connor ostrzegał przed nim na piśmie. Papież uwierzył listowi, w którym McCarrick wszystkiemu zaprzeczył.

Irlandia. W 1997 r. papieski nuncjusz pisał do biskupów w liście „ściśle poufnym", że obowiązkowe zgłaszanie nadużyć policji budzi „poważne zastrzeżenia natury moralnej i kanonicznej".

Francja. W 2001 r. kardynał Darío Castrillón Hoyos, prefekt watykańskiej Kongregacji ds. Duchowieństwa, pogratulował biskupowi, że nie doniósł na księdza skazanego na 18 lat za gwałt na chłopcu i napaści na dziesięciu innych. W 2010 roku kardynał oświadczył, że papież pozwolił mu rozesłać ten list biskupom na całym świecie.

Australia. Królewska komisja ustaliła, że w latach 90. i na początku XXI w. – za rządów JP2 – Stolica Apostolska uważała, iż biskupi nie mogą swobodnie zgłaszać nadużyć władzom cywilnym.

Nad tym wszystkim wisiał sekret papieski. W 2001 r. Jan Paweł II przekazał sprawy wykorzystywania dzieci przez duchownych Kongregacji Nauki Wiary i objął je tym sekretem. Zniósł go dopiero Franciszek, w grudniu 2019 r. Obrońcy powiedzą: nie wiedział, okłamywali go, takie były czasy. Ile razy można zostać oszukanym, zanim oszustwo staje się metodą? To nie była seria wypadków. To był system: najpierw dobre imię Kościoła, potem dziecko.

Wersja internetowa

W marcu 2023 r., gdy wybuchła sprawa „Franciszkańskiej 3", prezes IPN Karol Nawrocki mówił, że „tak jak Ağcy nie udało się zamordować świętego papieża Polaka", tak insynuacjami nie uda się zamordować pamięci o nim. Prace Gutowskiego i Overbeeka nazwał zaprzeczeniem rzetelności. Bronił pomnika. Dziś broni algorytmu i przestępców ukrytych za woalką wolności.

Watykański raport o McCarricku sugeruje, dlaczego Jan Paweł II tak łatwo wierzył oskarżonym: w PRL widział, jak bezpieka fabrykuje zarzuty przeciw biskupom. W każdym oskarżeniu wietrzył więc prowokację. Nawrocki w każdej próbie ochrony dziecka wietrzy Ministerstwo Prawdy. 13 listopada mówił o „widmie urzędnika cenzora", a przypominanie ataków w szkołach nazwał „szantażem emocjonalnym". Prezydent powołuje się na wolność słowa i na to, że ocena treści to „wyłącznie kompetencja wymiaru sprawiedliwości i niezawisłych sędziów". Szlachetne słowa zawsze się znajdą. Pytanie, ile dzieci zostanie skrzywdzonych, gdy Karol będzie odczytywał komunały z promptera.

Kiedyś sprawca mówił dziecku w zakrystii: tylko nie mów nikomu. Dziś mówi to fałszywy profil w telefonie. I działa tak samo. Z „Czarnej księgi młodych ofiar platform cyfrowych", którą Ministerstwo Cyfryzacji opublikowało dzień przed wetem: 70,7 proc. nastolatków skrzywdzonych seksualnie w sieci nie powiedziało nikomu. 76,5 proc. nie wiedziało, kim jest sprawca. Sekret papieski zastąpił regulamin platformy. Proboszcza przenoszonego na inną parafię – konto, które znika i wraca pod nową nazwą. Zabawa w chowanego trwa w najlepsze.

Dziś o tym, jak bardzo można skrzywdzić dziecko, decyduje algorytm. Ten sam, który przez noc podsuwa przerobione zdjęcie kolejnym uczniom, bo dobrze się klika. X w pierwszym półroczu 2026 r. odrzucił albo zostawił bez reakcji 78,9 proc. zgłoszeń dezinformacji wysłanych przez NASK. Bez szybkiej ścieżki z zawetowanej ustawy polska matka może najwyżej kliknąć „zgłoś" i czekać z nadzieją, że coś drgnie.

Kto stoi po stronie systemu? Elon Musk po styczniowym wecie napisał prezydentowi „brawo!". Kilka dni później NASK alarmował, że Grok, chatbot Muska, według zgłoszeń „rozbiera" także dzieci. Raport „Internet dzieci 2026" zwraca uwagę, że ludzie Mety, Google'a i TikToka zasiadają w ciałach doradczych zarówno przy ministrze, jak i przy prezydencie. Wojtyła miał kardynałów od dobrego imienia Kościoła. Wojtyła 2.0 ma doradców od dobrego samopoczucia platform.

Syn, córka, babcia, dziadek

Twoja córka idzie rano do szkoły. Ktoś robi jej zdjęcie na przystanku albo ściąga je ze szkolnego profilu. Ktoś inny wrzuca je do darmowej aplikacji, która w kilka sekund „rozbiera" ją do naga. Wieczorem zdjęcie krąży po klasie. Za tydzień ktoś pisze z fałszywego konta: przyślij prawdziwe, bo pokażę to twojemu ojcu. Za miesiąc żąda więcej. Za rok zdjęcie dalej gdzieś jest. Twój syn dostaje to samo, tylko szantażysta zamiast zdjęć żąda pieniędzy. Przez dzień, dwa albo przez lata twoje dziecko nie zazna spokoju, ciepła i bezpieczeństwa. Nawet we własnym łóżku, z telefonem pod poduszką.

To nie fantazja. W jednej z polskich podstawówek koledzy ściągnęli z sieci zdjęcie koleżanki, „rozebrali" ją aplikacją i wrzucili na instagramowy profil szkoły z podpisem „Kto chce jej nagie zdjęcia?". Policja odmówiła śledztwa, bo uznała, że nie doszło do czynu zabronionego, a dziewczynka nie doznała szkody. Prokuratura wróciła do sprawy dopiero po interwencji prezesa UODO. Według NASK 8,9 proc. uczniów w wieku 14–18 lat doświadczyło tworzenia lub rozpowszechniania ich seksualnych wizerunków bez zgody, a 10 proc. prosiło o usunięcie takiego materiału i usłyszało odmowę. 11 proc. nastolatków spotkało się z dorosłym poznanym w internecie, a co czwarty nikomu o tym nie powiedział. Od takich spotkań zaczynają się historie, które kończą się w policyjnych komunikatach o gwałcie.

Więc mówię wprost, panie prezydencie. Jest pan współodpowiedzialny. Za każde przerobione zdjęcie, które wisi w sieci dłużej, niż musiałoby. Za każdy dzień szantażu, który szybka blokada mogła skrócić.

Za molestowanie, które zaczyna się od wiadomości, i za gwałt, który zaczyna się od spotkania z „kolegą z internetu". Nie w rozumieniu kodeksu karnego, bo głowę państwa może sądzić tylko Trybunał Stanu. W tym samym rozumieniu, w jakim współodpowiedzialny był Karol Wojtyła: wiedział, mógł i nie zrobił.

Wojtyła 2.0 ma jeszcze jedną przewagę nad oryginałem. Tamten zawiódł dzieci. Ten zawodzi także ich dziadków.

Nasze babcie i dziadkowie dostali smartfony na starość, razem z Facebookiem, TikTokiem i reklamami, które wyglądają jak wiadomości. „Wnuczek" dzwoni dziś głosem podrobionym przez sztuczną inteligencję. Gwiazdy „polecają" w reklamach na Facebooku – Julia Wieniawa, Iga Świątek, Rafał Brzoska czy Robert Lewandowski. W czerwcu CERT Orange ostrzegał przed taką kampanią z Wieniawą i Świątek. Po sieci krążyło nawet spreparowane nagranie, na którym sam Karol Nawrocki namawiał Polaków do „inwestowania". Za tymi liczbami stoją też czyjeś oszczędności, czyjś wstyd i ta sama myśl co u czternastolatki: tylko nie mów nikomu, bo wyjdę na starego głupca.

Gawkowski mówił już w styczniu, że ta ustawa pozwala walczyć „z pedofilią czy oszustwami". Własna twarz prezydenta posłużyła oszustom. Mógł to potraktować osobiście. Potraktował wetem.

Mów. Wszystkim

Najbardziej boli to, że prezydent wcale nie musiał wybierać między wolnością a dziećmi.

Po styczniowym wecie sam apelował: „Poprawmy to. W ciągu miesiąca możemy przygotować uczciwy projekt". Rząd poprawił. Gawkowski mówi, że prezydent poprosił o szereg zmian i „wszystkie one zostały do ustawy wpisane". Wiceminister Dariusz Standerski zapraszał Kancelarię Prezydenta na konsultacje. Kancelaria nie przyszła. Teraz minister publicznie prosi, by pałac wskazał konkretne artykuły, które mu przeszkadzają, a rząd jest gotów ustawę okroić. Prezydent ma przecież inicjatywę ustawodawczą i mógł napisać własny projekt. Mógł też ustawę podpisać, a wątpliwe przepisy posłać do Trybunału Konstytucyjnego. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Wybrał widmo.

Najlepsze, że prezydent zna inną drogę. W lipcu podpisał ustawę o patostreamingu, choć miał do niej zastrzeżenia i mówił: „niedoskonałość przepisów nie może oznaczać bezczynności wobec przemocy, poniżania człowieka". Pięknie. Dlaczego ta zasada działa wobec patostreamerów, a nie wobec ludzi, którzy rozbierają dzieci?

Rząd też nie jest bez winy: dopisanie na finiszu blokowania mowy nienawiści dało prawicy wygodny pretekst. Ale pretekst to nie powód. Wojtyła mógł się zasłaniać tym, że nie znał skali. Nawrocki ma skalę w tabelkach, relacjach i raportach.

Co możemy zrobić?

Od 2017 r. każdy, kto ma wiarygodną wiadomość o seksualnym wykorzystaniu dziecka, ma prawny obowiązek zawiadomić policję albo prokuraturę. Sąsiad ma ten obowiązek. Nauczycielka ma. Trener ma. Prezydent ma długopis. Użył go, żeby podpisać weto. Zawiódł nas wszystkich: dzieci, rodziców, babcie i dziadków. Mnie też.

Dlatego zróbmy to, czego system obu Karoli boi się najbardziej. Mówmy głośno i wszystkim. Jeśli twoje dziecko coś takiego spotkało, nie jest winne. Jeśli spotkało to twoją babcię, ona też nie. Zgłaszaj do Dyżurnet.pl, do CERT Polska, do NASK, na policję i prokuraturę. A jeśli ktoś w internecie pisze do ciebie „tylko nie mów nikomu", to pierwszy znak, że trzeba o tym szybko powiedzieć wszystkim.

Po śmierci Jana Pawła II Plac Świętego Piotra skandował: „Santo subito". Pod pałacem prezydenckim słyszymy głównie nawoływania do jebania Tuska, a zza oceanu Elona Muska, który krzyczy „brawo!". Każdy ma takich wyznawców, na jakich zasłużył.

GRZEGORZ JAN JANICZAK
działacz społeczno-polityczny, publicysta LGBT TV

Kilka uwag ojca założyciela

Z prawdziwym smutkiem stwierdzam, że 25 października 2026 r. w Częstochowie padł ostatni w Polsce bastion lewicy. 49 499 mieszkańców odwołało w referendum Krzysztofa Matyjaszczyka – prezydenta miasta z 16-letnim stażem – oraz Radę Miasta. Trzeba przyznać: zasłużenie. Ja sam, niezasłużenie, kolejny raz uczestniczę w politycznym obrzędzie wyprowadzania symbolicznego sztandaru.

Na nic zdały się pomruki niezadowolenia co odważniejszych – czyli tych spoza kręgów towarzysko-biznesowych i nieuhonorowanych posadami w miejskich spółkach. Dopiero Pani Demokracja użyła kija bejsbolowego i pogoniła całe towarzystwo.

Naiwne są opinie, że taki wynik referendum to efekt podstępnych manipulacji „wrogów demokracji i lewicowej władzy" oraz nieetycznych zagrywek piarowskich w rodzaju „aleja gwiazd".

Jakby ktoś nie wiedział: był to zorganizowany przez komitet referendalny polityczny happening, który polegał na wyeksponowaniu kartonowych podobizn lokalnych lewicowych polityków, przyozdobionych informacjami o ich wynagrodzeniach, zajmowanych przez nich stanowiskach w miejskich spółkach i ich powiązaniach politycznych. Dla mieszkań-

eprasa.pl 6bb0996a4b

Hej, wyborco, spójrz na misia!

Obiecujmy, bierzmy kasę. Zanim się zorientują.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nieszczęście poczęło się na wiedeńskim lotnisku międzynarodowym. Oczekujący na wejście do samolotu, pan prezes Kaczyński ujrzał wielką elektroniczną tablicę. Wyświetlającą godziny lotów do licznych miast na całym świecie. Tablica urzekła go. Unaoczniła mu, że są lotniska na tym najlepszym ze światów, z których można polecieć do każdego zakątka. Podziw dla tablicy i lotniska szybko przerodził się w bunt. Czemuż taka mała Austria ma tak wielkie lotnisko, a większa od niej Polska nawet tablicy nie? Swoimi rozterkami podzielił się z towarzyszącymi mu politykami PiS-u. Ci niezwłocznie przekazali je ówczesnemu kierownictwu partii i jej rządu. Ponieważ PiS stworzył model „demokracji wodzowskiej", to jasne było, że marzenie pana prezesa jest najważniejszym priorytetem prac jego rządu. Podstawowym celem rozwojowym przyszłej Polski. Wielkiej i dumnej.

Każdy świadomy i patriotyczny Polak wie, że pan prezes młodzieżowcem już nie jest. Jego najbliższe otoczenie dobrze zna jego wiek i stan zdrowia. Jasne było, że trzeba działać szybko. Aby pan prezes zdążył nie tylko wbić pierwszą łopatę pod budowę wymarzonej tablicy, ale też przeciąć wstęgę otwierającą do niej dostęp.

W roku 2016 do boju ruszył rząd Beaty Szydło. Uroczyście przystąpiono do projektowania koncepcji projektu, któremu nadano dumnie brzmiącą nazwę: Centralny Port Komunikacyjny. Tak rozpoczął się kolejny narodowy festiwal wizji i koncepcji.

Kolos na szprychach

Najbardziej sensowną koncepcję lansował megalomański pierwszy polski „geostrateg", medialny celebryta, a także plagiator cudzych prac naukowych, magister Jacek Bartosiak. Był w latach 2017–2018 członkiem Zespołu Doradczego Pełnomocnika Rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego. W sierpniu 2018 r. powołano go na prezesa spółki ds. spraw budowy tego CPK.

Plan Bartosiaka był cwaniacki, ale niepozbawiony realiów. Przewidywał budowę dużego polskiego przesiadkowego lotniska za chińskie pieniądze i kredyty. Jako część ich gigantycznego projektu komunikacyjnego zwanego Nowym Jedwabnym Szlakiem. Oraz budowę sieci kolei dużych prędkości. Ją Polsce sfinansować miała Unia Europejska jako projekt związany z polityką Zielonego Ładu. Hiszpanii udało się zbudować podobną sieć szybkich pociągów w połowie sfinansowanych przez UE.

Z geostrategicznego punktu widzenia taka wizja była niegłupia i jeszcze w roku 2018 całkiem realna. Ale świat się zmienia, ostatnio dość szybko. Tego nie chcą dostrzec zapiekli fani tej budowy i żyjący z propagowania koncepcji CPK cyniczni cwaniacy. W lutym 2019 r. zrezygnowano z usług Bartosiaka, bo swoje wizjonerstwo zrobił. Do władz spółki przyszli ludzie pragnący dostatnio żyć z produkcji kolejnych koncepcji CPK, na koszt podatników rzecz jasna, i reklamować swe wizje w mediach. Jak choćby pan poseł PiS Marcin Horała, który uwiódł dla CPK nawet posłankę Paulinę Matysiak z partii Razem.

Potem plan budowy CPK przejął rząd Mateusza Morawieckiego. W październiku 2020 r. przyjął uchwałę ustanawiającą „Program inwestycyjny Centralny Port Komunikacyjny. Etap I. 2020–2023". Wówczas ruszyły prace przygotowawcze i pierwszy skup gruntów pod gigantyczną inwestycję.

Rząd brnął w budowę, choć „pierwotna koncepcja" CPK straciła grunt polityczny i ekonomiczny. Bo zaostrzyła się rywalizacja gospodarcza i polityczna Chiny–USA. I z Waszyngtonu do Warszawy popłynęło ostrzeżenie, że „chińskie" lotnisko na terenie polskiego sojusznika nie jest tam mile widziane. Dodatkowo ówczesne rządy PiS-u rozpoczęły ideologiczne wojny z Unią Europejską. Takie starcia nie sprzyjały pozyskiwaniu funduszy z Brukseli. Ale polskich budżetowych pieniędzy dalej wystarczało na opłacanie koncepcji i promocji projektu CPK oraz akcję wykupywania gruntów w okolicach Baranowa, gdzie lotnisko miało powstawać.

Niebo nad Moskwą

W międzyczasie świat komunikacji radykalnie się zmienił. Pandemia COVID-19 ograniczyła transport lotniczy, a potem wymusiła na liniach lotniczych trudno odwracalne zmiany. Zredukowano loty przesiadkowe na rzecz jednorazowych dłuższych połączeń wykonywanych przez nowe typy samolotów. Obniżano komfort przelotów, upychając pasażerów w klasie ekonomicznej, aby utrzymać relatywnie niskie ceny biletów. Ograniczono pasażerom bagaż i catering na rzecz przewozów lotniczych ładunków. Debatując o CPK, rzadko wspomina się, że wojna z Rosją zablokowała rosyjską przestrzeń dla samolotów z Polski. Jedynie Air China może z Polski przez Rosję latać. PLL LOT i inne linie z Unii Europejskiej nie mogą. Nie wiadomo, kiedy rosyjska przestrzeń zostanie dla LOT-u otwarta. Może za pięć lat, a może za 25. Może się też zdarzyć, że Rosja najpierw otworzy swą przestrzeń dla linii niemieckich i francuskich, a dla polskiej długo nie.

Roztaczając wizję zbudowania „polskiego Dubaju", nie wspomina się, że samo posiadanie megalotniska nie gwarantuje mu napływu pasażerów. Że wszystkie istniejące huby przesiadkowe obsługują istniejące już megalinie lotnicze. Niemieckie, francuskie, tureckie, chińskie i należące do arabskich szejków. Polskie Linie Lotnicze LOT są jedyną średniej wielkości europejską linią lotniczą, która nadal działa dzięki ukrytej pomocy finansowej państwa. Warto też zapytać, czy polskie PLL LOT mają wystarczający potencjał, aby obsługiwać lotnisko tak wielkie i konkurujące wobec już istniejących?

Na razie spółka PLL LOT wykazuje zyski. Ale to przede wszystkim efekt radykalnej redukcji kosztów jej utrzymania. Zatrudniania personelu, także pilotów, na śmieciowych umowach.

Warto przypomnieć, że prognozowany sens ekonomiczny lotniska przesiadkowego w Baranowie oparty był na kalkulacji, że LOT zorganizuje stamtąd liczne loty do Azji. Tańsze, bo dokonywane przez rosyjską Syberię. Konkurencyjne cenowo wobec stambulskiego lotniska w Turcji i lotnisk w arabskich emiratach. Skoro LOT może jeszcze długo przez Rosję nie latać, to po co budować kosztowne w utrzymaniu megalotnisko w okolicach Baranowa. Dla Lufthansy i innych europejskich linii? Trzeba też przypomnieć, że dziś nie planuje się w Europie budowy nowych gigantycznych lotnisk. Bo nie gwarantują one opłacalności.

Światełko w tunelu

Pomimo tego rządzący premier Tusk i opozycyjny wobec niego prezydent Nawrocki nadal zgodnie obiecują polskiemu dumnemu narodowi budowę wielkiego Centralnego Portu Komunikacyjnego i Kolei Dużych Prędkości. Na tym ich zgoda się kończy. Bo prezydent Nawrocki nawołuje do budowy CPK w jego „pierwotnym stanie". A premier Tusk ustami swych ministrów lansuje budowę już „urealnioną". Co jakiś czas modyfikowaną, redukowaną.

Prezydencki „pierwotny stan" CPK jest nierealny w nowej, realnej rzeczywistości. Jedynym realnym postulatem Nawrockiego pozostało żądanie, aby jego pałac miał reprezentantów we władzach spółek budujących to CPK i KDP. Zarobek 80 tys. zł miesięcznie piechotą nie chodzi.

Polscy parlamentarzyści też są gremialnie za CPK. Bo już wyczuli, że ich wyborcy z Kalisza, Kutna, Łomży, Koszalina czy Hrubieszowa chcieliby mieć swój przystanek Kolei Dużych Prędkości. Bo tego wymaga ich duma narodowa.

Według niekwestionowanego przez polskich polityków harmonogramu do 2032 r. ma zostać oddane do użytku nowe wielkie lotnisko i odcinek KDP między Łodzią i Warszawą o długości około 130 km. Do 2035 r. gotowe będą fragmenty torów z Łodzi do Poznania i Wrocławia. Pociągi tam kursujące pojadą z prędkością ponad 300 km/h.

Oczywiście takie megalotnisko do 2032 r. nie powstanie. Przy tak deficytowym budżecie i froncie militarnych robót szans nie ma. I oby długo nie powstało. W Polsce bardziej potrzebna jest teraz budowa linii kolejowej z Gdyni do Lęborka. Przedłużanie Rail Baltica. Ważne jest podniesienie prędkości na Centralnej Magistrali Kolejowej do 250 km/h. A nie czarowanie wyborców wizją oplatających Polskę pociągów pędzących z prędkością powyżej 300 km/h. Bo takie wymagają budowy osobnych ogrodzonych torów i sieci osobnych dworców kolejowych.

W Polsce modne jest postulowanie walki z „wykluczeniem komunikacyjnym" Polaków. Aby zwabić wyborców, polscy politycy obiecują KDP w każdej gminie. Choć potrzeba tam sieci autobusów szynowych, które są realne, bo znacznie tańsze.

Polscy podatnicy dali się już wrobić w budowę przekopu Mierzei Wiślanej. Kochają robić sobie focie na jej tle. Nie zdając sobie sprawy, jak drogie są to fotki dla budżetu państwa. Tworzonego z ich podatków. Polscy wyborcy i podatnicy dali się wrobić w wizję megaelektrowni w Ostrołęce. Jej budowę przerwano, trwa teraz rozbiórka. Oczywiście za nasze podatki. Za nasze podatki udaje swą działalność port lotniczy w Radomiu. Powstał z kaprysu polityków PiS-u. Miał być dumą Polaków.

Centralny Port Lotniczy powstał z kaprysu prezesa Kaczyńskiego, który ujrzał w Wiedniu tablicę świetlną. Podobne są na warszawskim Okęciu. Ale tam pewnie prezes ich nie dostrzegł, bo kiedy lata z Okęcia, prowadzą go ścieżką dla ViP-ów. Od razu do samolotu.

Nie wiem, czy kiedyś pan prezes zobaczy tablicę na lotnisku w Baranowie. Na razie ten CPK to klasyczny miś wabiący naiwnych wyborców. Miód dla rwaczy społecznych pieniędzy. Fajna zabawa. Pewnie tylko mieszkańców Baranowa i okolic żyjących w cieniu ciągle zawieszonego misia taki stan nie śmieszy.

PIOTR GADZINOWSKI

Pożegnanie Częstochowy z lewicą



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Częstochowa to miasto, w którym lewica zawsze miała się dobrze. Nawet w czasach, gdy w innych miastach ledwo dyszała, tu potrafiła zebrać tłumy, wygrywać wybory i budować silne struktury. Dziś to wszystko wygląda jak wspomnienie z innej epoki. Lewica w Częstochowie nie tyle przegrała, co po prostu się rozpłynęła. Bez walki, bez dramatu, bez nawet jednego porządnego kryzysu. Po prostu przestała istnieć.

Jeszcze niedawno miała tu wszystko: prezydenta miasta, większość w radzie, wpływy w spółkach miejskich, ludzi w każdej instytucji. Miała też coś, czego dziś brakuje wielu dużym miastom – poczucie wspólnoty. Lewica w Częstochowie była czymś więcej niż partią. Była środowiskiem, w którym ludzie się znali, pomagali sobie, razem świętowali i razem przegrywali. Dziś po tym środowisku nie ma śladu.

Nie ma też jednej przyczyny tego upadku. Jest ich kilka, a wszystkie razem tworzą obraz, który trudno oglądać bez goryczy. Pierwsza to pycha. Lewica w Częstochowie uwierzyła, że jest nie do ruszenia. Że wyborcy muszą na nią głosować, bo nie mają innego wyjścia. Że wystarczy mieć dobrego prezydenta, dobrą listę i dobre hasła, a reszta przyjdzie sama. Przyszła – tylko że w postaci porażki.

Druga przyczyna to brak wymiany pokoleniowej. Przez lata na kluczowych stanowiskach siedzieli ci sami ludzie. Niektórzy z nich byli dobrymi samorządowcami, ale z czasem stali się częścią układu, a nie jego siłą napędową. Nie dopuszczali młodych, nie słuchali nowych głosów, nie widzieli, że świat wokół się zmienia. Gdy w końcu zniknęli, nie było kogo zastąpić.

Trzecia przyczyna to oderwanie od ludzi. Lewica w Częstochowie przestała rozmawiać z mieszkańcami o ich codziennych problemach. Zamiast tego zajęła się sobą. Spotkania, narady, wewnętrzne rozgrywki, walka o miejsca na listach – to wszystko pochłaniało energię, która powinna iść w stronę wyborców. Ludzie to widzieli i przestali głosować.

Czwarta przyczyna to brak odwagi. Lewica w Częstochowie bała się mówić wyraźnie o rzeczach, które mogły kogoś zdenerwować. Bała się konfliktu, bała się utraty poparcia, bała się własnego cienia. W efekt stała się partią bez twarzy, bez charakteru, bez przekonań. Partią, która chciała wszystkim się podobać, a skończyła tak, że nikt jej nie chciał.

Piąta przyczyna to brak pokory. Lewica w Częstochowie zapomniała, że poparcie nie jest dane raz na zawsze. Że trzeba je zdobywać każdego dnia, w każdej dzielnicy, przy każdej okazji. Zapomniała, że wyborcy nie są głupi i że potrafią rozpoznać, kiedy ktoś traktuje ich z góry. Zapomniała, że samorząd to nie trampolina do kariery, tylko służba.

Szósta przyczyna to brak wyobraźni. Lewica w Częstochowie nie potrafiła wymyślić siebie na nowo. Nie potrafiła odpowiedzieć na pytania młodych ludzi, którzy chcą mieszkać w zielonym mieście, oddychać czystym powietrzem, mieć dostęp do kultury i sportu, a nie tylko do betonowych osiedli i korków. Nie potrafiła zaproponować wizji, która porwałaby tłumy.

Siódma przyczyna to brak solidarności. Lewica w Częstochowie przestała być wspólnotą. Stała się zbiorem indywidualności, które walczyły ze sobą zamiast z przeciwnikiem. Gdy przyszły trudne czasy, nie było kogo wesprzeć, nie było kogo bronić, nie było kogo prowadzić. Każdy ratował siebie, a nikt nie ratował całości.

Ósma przyczyna to brak kontaktu z rzeczywistością. Lewica w Częstochowie przestała słuchać. Przestała widzieć, że ludzie mają dość obietnic, które nie są spełniane, że mają dość polityków, którzy mówią jedno, a robią drugie, że mają dość partii, które traktują wyborców jak narzędzie do osiągnięcia celu. Lewica w Częstochowie stała się jedną z tych partii.

Dziewiąta przyczyna to brak nadziei. Lewica w Częstochowie przestała wierzyć, że może wygrać. Przestała walczyć o każdy głos, o każdą dzielnicę, o każdą ulicę. Przestała być drużyną, która gra do końca. Stała się drużyną, która schodzi z boiska przed gwizdkiem, bo wie, że i tak przegra.

Dziesiąta przyczyna to brak pamięci. Lewica w Częstochowie zapomniała, skąd przyszła. Zapomniała, że jej siła nie brała się z układów, tylko z ludzi. Zapomniała, że jej sukcesy nie były dane raz na zawsze, tylko wywalczone. Zapomniała, że jej porażki nie były końcem świata, tylko lekcją, z której można się uczyć.

Jedenasta przyczyna to brak odpowiedzialności. Lewica w Częstochowie przestała brać na siebie winę za swoje błędy. Zamiast tego szukała winnych na zewnątrz. Winni byli wyborcy, którzy nie rozumieją, winni byli media, które nie chcą pisać dobrze, winni byli przeciwnicy, którzy są za silni. Winni byli wszyscy, tylko nie ona sama.

Dwunasta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Trzynasta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Czternasta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Piętnasta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Szesnasta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Siedemnasta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Osiemnasta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Dziewiętnasta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Dwudziesta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Dwudziesta pierwsza przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Dwudziesta druga przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Dwudziesta trzecia przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Dwudziesta czwarta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Dwudziesta piąta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Dwudziesta szósta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Dwudziesta siódma przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Dwudziesta ósma przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Dwudziesta dziewiąta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Trzydziesta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Trzydziesta pierwsza przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Trzydziesta druga przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Trzydziesta trzecia przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Trzydziesta czwarta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Trzydziesta piąta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Trzydziesta szósta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Trzydziesta siódma przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Trzydziesta ósma przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Trzydziesta dziewiąta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Czterdziesta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Czterdziesta pierwsza przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Czterdziesta druga przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Czterdziesta trzecia przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Czterdziesta czwarta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Czterdziesta piąta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Czterdziesta szósta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Czterdziesta siódma przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Czterdziesta ósma przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Czterdziesta dziewiąta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Pięćdziesiąta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Pięćdziesiąta pierwsza przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Pięćdziesiąta druga przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Pięćdziesiąta trzecia przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Pięćdziesiąta czwarta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Pięćdziesiąta piąta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Pięćdziesiąta szósta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Pięćdziesiąta siódma przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Pięćdziesiąta ósma przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Pięćdziesiąta dziewiąta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Sześćdziesiąta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Sześćdziesiąta pierwsza przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Sześćdziesiąta druga przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Sześćdziesiąta trzecia przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Sześćdziesiąta czwarta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Sześćdziesiąta piąta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Sześćdziesiąta szósta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Sześćdziesiąta siódma przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Sześćdziesiąta ósma przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Sześćdziesiąta dziewiąta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Siedemdziesiąta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Siedemdziesiąta pierwsza przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Siedemdziesiąta druga przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Siedemdziesiąta trzecia przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Siedemdziesiąta czwarta przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Siedemdziesiąta piąta przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Siedemdziesiąta szósta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Siedemdziesiąta siódma przyczyna to brak miłości. Lewica w Częstochowie przestała kochać miasto, ludzi, siebie nawzajem. Przestała być wspólnotą, która się troszczy. Stała się zbiorem ludzi, którzy się nienawidzą, bo nie potrafią się porozumieć.

Siedemdziesiąta ósma przyczyna to brak końca. Lewica w Częstochowie nie potrafiła się pożegnać. Nie potrafiła powiedzieć: skończyliśmy, zrobiliśmy, co mogliśmy, teraz czas na kogoś innego. Zamiast tego trwała, mimo że nie miała już nic do powiedzenia. Trwała, mimo że nie miała już nikogo do reprezentowania. Trwała, mimo że nie miała już siebie.

Siedemdziesiąta dziewiąta przyczyna to brak sensu. Lewica w Częstochowie przestała wiedzieć, po co istnieje. Przestała mieć cel, misję, wizję. Przestała być potrzebna. I wtedy przyszła pustka, która wypełniła wszystko.

Osiemdziesiąta przyczyna

Szkoła policyjnej troski

Jeszcze trochę medialnej paniki i nauczyciele, oprócz sprawdzania klasówek, będą musieli zaliczać kursy obezwładniania uczniów.

W Polsce jest ponad 6 mln uczniów. Każdego dnia idą do szkół, żeby czegoś się nauczyć, spotkać kolegów, dostać pałę albo znienawidzić matematykę. Zdarza się, że któryś przyniesie nóż. Zdarza się też, że ktoś kogoś pobije, zastraszy albo nawet zabije. Ale ponieważ każde takie zdarzenie jest dla mediów znacznie atrakcyjniejsze niż informacja o tym, że miliony dzieciaków kolejny dzień przeżyły bez najmniejszego uszczerbku na zdrowiu, to z pojedynczych tragedii robi się narodową epidemię. A od epidemii jest już tylko krok do nadzwyczajnych środków zaradczych. Najlepiej takich, które można ogłosić na konferencji prasowej. Ministerstwo Edukacji Narodowej wpadło więc na pomysł, żeby dyrektorzy i nauczyciele mogli kontrolować rzeczy osobiste uczniów. W szkołach mają odbywać się ćwiczenia na wypadek zagrożenia, rozważa się instalowanie wykrywaczy metalu, a w jednym z przedszkoli postanowiono nawet nie wpuszczać do budynku rodziców. Wszystko oczywiście dla dobra dzieci.

Krwawy news

W październiku w Ostrołęce 19-latek zaatakował nożem dziewięć osób. Dzień później, w szkole podstawowej w Leszczydole-Nowinach pod Wyszkowem, 15-letni chłopak postąpił tak samo z trojgiem pracowników placówki. 37-letnia kobieta zmarła. Osierociła dwóch synów. Tragedia, której nie sposób zbagatelizować, ale można ją wykorzystać jako uzasadnienie dla całej serii nowych zakazów, nakazów i uprawnień. Zwłaszcza gdy do prawdziwych zdarzeń dołączy propagandowa produkcja strachu.

Po atakach w mediach społecznościowych zaczęły krążyć zapowiedzi kolejnych napaści. Pojawiły się ostrzeżenia przed „krwawym piątkiem". Policja zwiększyła obecność w pobliżu placówek oświatowych, a w Olsztynie zwołano sztab kryzysowy. W całym kraju podczas policyjnych działań zatrzymano 195 osób. Brzmi groźnie, prawda? Tyle że z samej liczby zatrzymanych nie wynika ani to, ilu rzeczywiście planowało ataki, ani to, ilu miało przy sobie niebezpieczne narzędzia. Ale liczba 195 znakomicie nadaje się do tytułu. Podobnie jak informacja, że w Bartoszycach 11-letni uczeń miał w plecaku atrapę noża. W Ełku zatrzymano 17-latka podejrzewanego o kierowanie groźby ataku, zaś w Braniewie sprawdzano niepokojące nagranie związane z dwoma 15-latkami. Każda z tych informacji dotyczy innego zdarzenia. Jednak po wrzuceniu wszystkiego do jednego medialnego worka powstaje obraz kraju, w którym uczeń wychodzący rano do szkoły powinien pożegnać się z rodziną na wszelki wypadek.

Nie ma nic dziwnego w tym, że rodzice boją się o dzieci. Paranoicznie zaczyna się dopiero wtedy, gdy państwo reaguje na strach nie ustaleniem rzeczywistej skali zagrożeń i przyczyn przemocy, lecz wymyślaniem kolejnych procedur. Bo skoro uczeń może przynieść nóż, to trzeba sprawdzić plecak. A może przydałaby się bramka? A poza tym, jak szkoła ma pilnować wszystkiego, to najbezpieczniej będzie zamknąć drzwi.

W Klebarku Wielkim dyrekcja przedszkola Radosna Kraina zakazała rodzicom wchodzenia do budynku. Kontakt z placówką miał odbywać się telefonicznie, mailowo albo przez wychowawców. Wszystko w trosce o bezpieczeństwo dzieci i pracowników. Dyrektorka tłumaczyła, że działania nie wynikają z nieufności wobec rodziców, lecz z odpowiedzialności za bezpieczeństwo dziatwy.

W Olsztynie podobne ograniczenia wprowadzono w Szkole Podstawowej nr 12. Tam jednak zasady uzgodniono z radą rodziców. W Klebarku Wielkim dyskusja była tak gorąca, że komentowanie wpisu ograniczono do osób obserwujących profil placówki przez ponad dobę. Bezpieczeństwo zostało więc zapewnione nie tylko dzieciom, ale również szkolnemu Facebookowi.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Bramka do szczęścia

Pracownia IBRiS zapytała 1068 Polaków, czy w szkołach powinny zostać zainstalowane wykrywacze metalu. Za bramkami opowiedziało się 52,4 proc. respondentów, przeciwnych było 39,2 proc., a 8,3 proc. nie miało zdania. Ponad połowa rodaków uznała, że polskiej szkole przydałoby się coś z wyposażenia lotniska, sądu albo zakładu karnego.

Wyniki są ciekawe nie dlatego, że Polacy nagle pokochali wykrywacze metalu, lecz że pytano o poparcie dla urządzenia, nie wykazując, iż jego instalacja rzeczywiście ograniczy liczbę napaści. Wykrywacz metalu ma bowiem jedną zasadniczą wadę. Wykrywa metal, ale nie zamiar popełnienia przestępstwa, agresji, zaburzeń emocjonalnych, szkolnego prześladowania ani nawet niebezpiecznych przedmiotów choćby ze szkła, o nożach ceramicznych nie wspominając. Ba, trzeba kupić urządzenie i postawić je przy drzwiach. Zatrudnić ludzi, którzy będą je obsługiwać, ustalić procedury kontroli i określić, co robić, gdy uczeń odmówi współpracy. A jeśli urządzenie wykryje nóż? Co wtedy? Poprosić ucznia, żeby go oddał? A jeżeli odmówi? Chwycić go za rękę, przewrócić na ziemię, zastosować chwyt obezwładniający? Czy może najpierw zapytać dyrektora, czy zgodnie z regulaminem wolno mu przytrzymać posiadacza legalnego wszak przedmiotu za nadgarstek?

A nawet najdroższa bramka nie zapobiegnie pobiciu pięściami, kopaniu ani przemocy psychicznej. Nie wykryje również zagrożenia, które powstanie już wewnątrz budynku. W szkole znajdują się przecież nożyczki, narzędzia i mnóstwo zwyczajnych przedmiotów, które użyte w niewłaściwy sposób mogą stać się niebezpieczne.

Pedagog specjalnego przeznaczenia

MEN uznało jednak, że dotychczasowe uprawnienia dyrektorów i nauczycieli nie wystarczają. Barbara Nowacka zapowiedziała zmiany w prawie oświatowym, które mają umożliwić sprawdzanie rzeczy należących do uczniów w sytuacjach zagrożenia. Nowe regulacje mają również określać zasady zabezpieczania niebezpiecznych przedmiotów i doprecyzować procedury postępowania.

Tyle że nauczyciel reagować może już dziś. Wezwać dyrektora, powiadomić rodziców, a w sytuacji zagrożenia zawiadomić policję. Problem polega na tym, że ministerstwo chce wejść w obszar czynności, które dotychczas kojarzyły się przede wszystkim z uprawnieniami odpowiednio przygotowanych służb. A wtedy pojawia się pytanie, gdzie kończy się kontrola rzeczy osobistych, a zaczyna przeszukanie. I kto ponosi odpowiedzialność za skutki takiej interwencji.

Bo sprawdzenie plecaka spokojnego 10-latka, który sam pokazuje jego zawartość, to jedno. A próba odebrania ostrego narzędzia agresywnemu nastolatkowi, który nie zamierza podporządkować się poleceniom, to coś zupełnie innego. W pierwszym przypadku nauczyciel może najwyżej znaleźć kanapkę sprzed tygodnia. W drugim może zostać zaatakowany. I nie pomoże mu wówczas ani ukończona pedagogika, ani znajomość podstawy programowej.

Dlatego ZNP sprzeciwił się pomysłowi przerzucania na pedagogów obowiązków związanych z kontrolowaniem uczniów. Bo nauczyciele są od nauczania i wychowywania, a nie od wykonywania zadań ochroniarzy. Podobne stanowisko przedstawił komendant główny policji, wskazując na pracowników ochrony jako właściwych wykonawców takich czynności.

No dobrze, ale ochroniarz kosztuje. Trzeba go zatrudnić, przeszkolić i płacić mu co miesiąc. Szkół jest mnóstwo, samorządy narzekają na brak pieniędzy, zaś

ministerstwo nie przedstawiło w omawianych materiałach kosztorysu ogólnopolskiego systemu kontroli bezpieczeństwa w placówkach oświatowych. Nauczyciel natomiast już jest. Pensję dostaje, więc można mu dopisać kolejny obowiązek.

A skoro nauczyciel ma sprawdzać, czy uczeń nie przyniósł niebezpiecznego przedmiotu, to wcześniej czy później ktoś zapyta, dlaczego nie potrafił go odebrać. I wtedy pojawi się potrzeba kolejnych szkoleń. Z technik interwencji, chwytów obezwładniających i reagowania na atak ostrym narzędziem. Ciekawe, czy kurs obezwładniania będzie obowiązkowy również dla nauczycieli muzyki, plastyki i religii? Czy katecheta będzie musiał zaliczyć chwyt transportowy, a polonistka obronę przed nożem? Czy podczas awansu zawodowego nauczyciel będzie musiał wykazać się nie tylko umiejętnością prowadzenia lekcji, ale również zdolnością do unieruchomienia ucznia ważącego 90 kilogramów?

Na sprawdzaniu plecaków ministerialne pomysły się nie kończą, bo ma być też organizowanie praktycznych ćwiczeń reagowania na sytuacje kryzysowe co najmniej dwa razy w roku. Sam pomysł nie jest zły, ale czym innym jest spokojne przygotowanie do sytuacji awaryjnej, a czym innym organizowanie szkolnego życia wokół zagrożenia napaścią. Czy siedmiolatek ma uczyć się chowania pod ławką? Czy nastolatek będzie ćwiczył barykadowanie drzwi?

A gdzie w tym wszystkim dzieci? Cóż, będą musiały jakoś wytrzymać do końca edukacji. O ile wcześniej nie nabawią się kolejnych problemów psychicznych. Tym razem z powodu szkoły, która postanowiła chronić je przed wszystkim. Nawet przed normalnością.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Polska przedsiębiorczość to dziś sport dla samobójców i masochistów. W ciągu dziewięciu miesięcy tego roku blisko 150 tys. ludzi zrozumiało, że bycie „na swoim" to w rzeczywistości bycie na garnuszku ZUS-u, tyle że w roli karmiciela. Państwo polskie to jedyny wspólnik, który nie wnosi do firmy ani grosza, nie pomaga w robocie, ale co miesiąc wystawia rachunek na 2359 zł za sam przywilej posiadania pieczątki. Musisz zapłacić haracz, nawet jeśli jedynym twoim przychodem w danym miesiącu był kurz osiadający na biurku. To fascynujący system: opodatkowanie samej chęci do pracy. Efekt jest taki, że tylko 3 proc. Polaków ma jeszcze ochotę na gospodarczy sadomasochizm. Staliśmy się narodem, który marzy o etacie w urzędzie albo o świętym spokoju, bo walka z polskim systemem podatkowym przypomina boksowanie się z rozpędzonym pociągiem.

▮ Lublin. W tamtejszym oddziale ZUS-u cztery urzędniczki postanowiły zadbać o drożność systemu, aplikując koleżance końskie dawki środków przeczyszczających. Przez dwa miesiące Paula L., Ewa K., Monika Ch. i Teresa J. dolewały 51-latce laktulozę do napojów, bo po prostu nie przypadła im do gustu. W efekcie ofiara spędzała czas na intensywnej kontemplacji w toalecie zamiast nad aktami, co zresztą dla interesantów mogło wyjść na jedno.

▮ Karol Nawrocki reglamentuje polskość z surowością godną strażnika pustyni. Do września 2026 r. nadał obywatelstwo zaledwie 62 cudzoziemcom – głównie Ukraińcom, Izraelczykom i Wietnamczykom. To drastyczny zjazd w porównaniu z rokiem 2025, gdy przyznano ich blisko tysiąc, czy rekordowym 2022, gdy było ich ponad dwa i pół tysiąca. Ponieważ prezydencka łaska jest uznaniowa i nie wymaga uzasadnień, Nawrocki po prostu skąpi. Naturalizacja w Polsce wyhamowała, bo władza najwyraźniej uznała, że im nas mniej, tym bardziej jesteśmy narodowo nieskazitelni.

▮ Sosnowiec. Pewien 42-letni wizjoner postanowił skrócić męki kapitalizmu i dokonał jednoosobowej nacjonalizacji handlu detalicznego. Wszedł do sklepu przy ul. Orląt Lwowskich, ogłosił, że cały towar należy do niego, po czym – jako prawowity właściciel – pobrał dywidendę w postaci wódki i papierosów. Policja, wykazując się całkowitym brakiem zrozumienia dla tak śmiałej koncepcji własności, zakwalifikowała to jako kradzież szczególnie zuchwałą. Sąd, zamiast docenić szczerość i brak hipokryzji sprawcy, wysłał go do aresztu. W kraju, w którym od dekad kradnie się pod osłoną nocy lub paragrafów, facet, który robi to w biały dzień, patrząc ekspedientce w oczy, uchodzi za ewenement.

▮ Krasnystaw. Polska medycyna oficjalnie wkroczyła w fazę neolitu. Szpital powiatowy, tonący w 29 mln zł długu, przeszedł na gospodarkę zbieracko-łowiecką. Dyrektor placówki Zbigniew Widomski zamiast o nowoczesne leki błaga okolicznych rolników o ziemniaki, marchew i buraki. W gminie Izbica obywatele wystawiają przed domy worki z cebulą, by pacjenci mogli zjeść cokolwiek, co nie jest tynkiem ze ścian. To genialne rozwiązanie systemowe: NFZ nie płaci za leczenie, więc chorzy będą karmieni jałmużną od sąsiadów. Szpital ma 8 mln zł straty i 7 mln długu u dostawców, więc marchewka od chłopa to jedyna szansa na „podniesienie standardu żywienia".

▮ Łomża. Dwóch wybitnych strategów postanowiło dowieść, że wiek to tylko liczba, a dowód osobisty to jedynie sugestia. 47-latek próbował zdać egzamin na prawo jazdy za swojego 65-letniego kolegę, licząc najwyraźniej na to, że egzaminator w WORD-zie cierpi na zaawansowaną zaćmę. Niestety, urzędnik zauważył, że 18 lat różnicy między zdjęciem a kandydatem to jednak zbyt śmiała metafora. Zatrzymani przez policję panowie tłumaczyli, że to tylko zakład, czy uda się oszukać system. Zakład wygrali o tyle, że system zadziałał bezbłędnie, fundując im darmowy transport radiowozem i perspektywę wyroku.

▮ Pod koniec września 2026 r. nasze wspólne manko dobiło do 1,6 bln zł. To suma, która dowodzi, że jesteśmy narodem o niespożytej fantazji kredytowej. Gospodarstwa domowe winne są bankom ponad 880 mld zł, co oznacza, że przeciętny Polak posiada na własność głównie ratę i lęk przed jutrem. Żyjemy w kraju, gdzie „zastaw się, a postaw się" stało się strategią państwową. Firmy pożyczają, żeby trwać, a obywatele pożyczają, żeby udawać, że ich stać. Jesteśmy potęgą zbudowaną na debecie, a nasza jedyna realna wartość to cierpliwość wierzycieli.

▮ Na poznańskim osiedlu Bonin administracja postanowiła wziąć mieszkańców za mordę i zakazała im palenia na balkonach. To kolejna odsłona świętej wojny, którą niepalące jędze i osiedlowi społecznicy wypowiedzieli ludziom cywilizowanym. Choć regulamin spółdzielni pozwala na dymek, a polskie prawo nie zna mandatu za balkonowego papierosa, biurokraci straszą służbami. Jakimi? Może od razu wezwą oddziały antyterrorystyczne do zgaszenia jednego e-papierosa?

RJ

PS Powyższe rewelacje wygrzebaliśmy z mętnego ścieku krajowych mediów. Może to fakty, może półprawda, a może zwykły bełkot. Redakcja za zgodność z rzeczywistością powyższego nie odpowiada. W końcu rzeczywistość w Polsce i tak od dawna nie trzyma się kupy.

Kronika zap

Zamach w Krako

7 listopada coś w Polsce pękło. Po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z masakrą przypadkowych ludzi, dokonaną przez osobę, która strzelała z karabinu do każdego, kto jej się napatoczył pod lufę. Okoliczności tragedii zostaną pewnie za jakiś czas mniej lub dokładniej wyświetlone – choć martwy sprawca już nic nikomu nie powie – lecz już teraz parę rzeczy jawi się jako jasne i raczej nieulegające wątpliwości.

Na krakowską masakrę trzeba spojrzeć na w sposób zniuansowany, spokojny i pogłębiony. Nie ulegać piekielnym mechanizmom naszej polaryzacji politycznej i ideologicznej, lecz spróbować zadać sobie podstawowe pytania. Dlaczego doszło do tego aktu terroru, czy można było go uniknąć, jak na niego zareagowały media i politycy, i wreszcie – co nie znaczy, że to mniej ważne – co on mówi o Polsce i Polakach.

Fantazje o bezpieczeństwie

Żyjemy w Polsce, generalnie należącej do krajów rozwiniętego kapitalizmu, które obecnie cechują się bezprecedensowym w dziejach bezpieczeństwem. Żyjemy dłużej niż kiedykolwiek, zagrożenie „nienaturalną" śmiercią – zwłaszcza gwałtowną – jest statystycznie znikome. A jednak nie czujemy się bezpiecznie, wręcz przeciwnie.

Co więcej, realne zagrożenia dla naszego życia zwykle są zbywane wzruszeniem ra-

eprasa.pl 6bb0996a4b

Polowanie na snajpera

Schematy terrorystyczne to przeżytek

Chwilę po urządzonym w Krakowie przez mieszkańca Ostrowca Świętokrzyskiego ludzkim safari ruszyła giełda domniemań na temat motywów sprawcy. Na podstawie ubogich w treści profili mediów społecznościowych strzelca jak grzyby po deszczu wyrastały teorie o jego poglądach. Fotografia zabójcy pozującego w masce przeciwgazowej z tęczową flagą i mem z papieżem Janem Pawłem II natychmiast nakręciły prawicową bańkę na teorię o lewicowych ciągotach sprawcy masakry. Szef MSWiA Marcin Kierwiński na podstawie tylko sobie znanych pobudek stwierdził, że 25-letniego napastnika miały „fascynować ideologie prawicowe", a jego poglądy były „bardzo radykalne".

W międzyczasie zamachowiec – ku uciesze ogółu i niezadowoleniu prokuratury – na zawsze stracił puls, by zabrać tajemnicę krwawej krucjaty dwa metry pod ziemię.

Politycy zwaśnionych obozów i skupieni wokół nich fanatycy, zarzucając na przemian 25-latkowi, że był „prawackim faszystą" lub „lewakiem z Antify", strzelili mu (he, he) niechcący solidne fellatio.

Przez pierwszych kilkanaście godzin po strzelaninie na krakowskim Rynku więcej mówiło się o zamachowcu niż o jego ofiarach. Partyjne przepychanki zrobiły z mordercy celebrytę.

Upolitycznienie sylwetki sprawcy podgrzewa nastroje społeczne, jest świetnym paliwem politycznym i może mieć smarkate konsekwencje. Wielu sprawców masowych zbrodni kieruje się pragnieniem wyjścia z anonimowości.

Gdy widzą, że komentariat mieli życiorys, poglądy i ewentualny manifest zabójcy, otrzymują potwierdzenie, że zbrodnia jest skuteczną drogą do zdobycia rozgłosu. Polaryzacja zmiata przy okazji sedno sprawy: ogromna część przemocy dokonywanej w ostatnich latach przez młodych ludzi nie ma jednego podłoża ideologicznego.

Chęć wtłoczenia sprawcy w ramy sporu prawica-lewica można nazwać anachronizmem opartym na realiach XX w. Dla współczesnych radykałów wychowanych w zamkniętych bańkach internetowych algorytmów, głównym wrogiem nie jest konkretna klasa społeczna czy partia polityczna, lecz zwyczajnie cała ludzkość.

Sałatka ideologiczna i bunt bez programu

Próby zdiagnozowania i klasyfikacji najświeższych odmian terroryzmu zrodziły szereg naukowych definicji.

Dla zjawiska, w którym sprawca przemocy czerpie z kilku wzajemnie sprzecznych ideologii, zmienia swoje fascynacje albo w dupie ma jakikolwiek światopogląd polityczny, brytyjskie służby stworzyły osobną kategorię. MUU (*Mixed, Unclear, Unstable* – poglądy mieszane, niejasne i niestabilne) nie jest diagnozą psychologiczną, a narzędziem opisu oceny i ryzyka. W praktyce MUU to ekstremizm na kształt szwedzkiego stołu. Oznacza to tyle, że zamachowiec może podziwiać skrajnie prawicowych kolegów po fachu, sympatyzować z komunizmem, interesować się dżihadyzmem i rozpowszechniać antysemickie teorie spiskowe, będąc jednocześnie np. gejem. Na dokładkę kładzie pałę na instytucje państwowe i cały porządek społeczny.

W dużym skrócie: ideologia jest dla sprawcy tylko zbiorem narzędzi, z których wybiera te elementy, które odpowiadają jego frustracjom i wkurwowi.

Pewnym uzupełnieniem koncepcji MUU jest nihilistyczny ekstremizm przemocowy (NVE).

MUU stara się zbadać charakter przekonań ideologicznych sprawcy. NVE natomiast koncentruje się na charakterze przemocy i napędzających ją mechanizmach. Przesuwa punkt ciężkości analizy z pytania o ideologię na zagwozdkę, dlaczego przemoc stała się dla zamachowca najwyższą wartością.

Nihilistyczny ekstremizm przemocowy charakteryzuje kilka elementów. Przemoc nie musi służyć budowie nowego porządku, jest atrakcyjna sama w sobie. Zamachowiec przejawia zwykle fascynację masowymi zabójstwami i sprawcami innych aktów terroru. Zabijanie jest formą spektaklu. Ponieważ sprawca nie wierzy w żadną ideologię, traktuje przypisaną im symbolikę (np. nazistowską) jak dekorację, która ma wzbudzić strach albo zszokować opinię publiczną.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Tradycyjni ekstremiści na gruzach obecnego porządku chcą budować własną utopię – np. państwo narodowe czy kalifat. Ekstremista nihilistyczny chce zniszczyć to, co istnieje, bez planu „na potem".

Takie rozróżnienie przedstawiono w dokumencie „Nihilistyczna przemoc ekstremistyczna – pojawiające się zagrożenie" koordynatora UE ds. zwalczania terroryzmu z listopada 2025 r. Co ciekawe, w materiale pojawił się również polski wątek. Wśród sześciu europejskich przykładów NVE z lat 2024–2025 (obok spraw z Włoch, Finlandii, Szwecji i Niemiec) koordynator wymienił przykład czterech zatrzymanych w Olsztynie 19-latków, którzy planowali atak terrorystyczny na szkołę. Młodzieńcy inspirowali się masowymi strzelaninami, przechodzili szkolenia strzeleckie i taktyczne oraz gromadzili broń i materiały wybuchowe. Cóż.

Królicza nora

Środowiskiem, w którym spotykają się mechanizmy NVE i MUU, jest oczywiście internet. Jedną z najlepiej udokumentowanych pod kątem tego romansu subkultur jest True Crime Community (TCC). To ogromna, rozproszona w sieci społeczność osób zainteresowanych prawdziwymi zbrodniami, psychopatologią kryminalną i działaniem wymiaru sprawiedliwości.

Zdecydowana większość tego uniwersum nie ma z przemocą wspólnego więcej niż oglądanie dokumentów o patroszeniu ludzi pod wieczorną flaszkę i czipsy. Ot, próba zrozumienia ludzkiej psychiki i chęć rozwiązania zagadki.

W kontekście raportów antyterrorystycznych TCC nabiera zupełnie innych rumieńców. Służy określeniu zamkniętych, niszowych odłamów (np. na Telegramie, Discordzie czy TikToku), które analizę zbrodni zamieniły w gloryfikację. Przemoc w tej społeczności staje się przedmiotem fascynacji i społecznego uznania.

To społeczność młodych, odrzuconych osób, które podziwiają i propagują sprawców zamachów i masakr z całego świata. Użytkownicy spędzają tam czas na wspólnej „zabawie" estetyką masowych morderstw, montowaniu filmów i gier o krwawej tematyce. Członkowie takich grup cierpią często na głębokie wyobcowanie i poczucie bycia niewidzialnym. Wskutek tego chętnie utożsamiają się z zamachowcami, widząc w nich kogoś, kto odważył się zutylizować część ludzkiego robactwa. Zabójcy zyskują status idoli (tzw. *saints* – świętych), a ich wizerunki są przerabiane na romantyczne lub heroiczne montaże graficzne.

Grupa stosuje autocenzurę, która pozwala ominąć filtry moderacji. Specjaliści od social mediów podkreślają, że internauta, który z czystej ciekawości obejrzy jeden materiał, błyskawicznie wpada w bańkę tematyczną. Algorytm z automatu podsuwa mu coraz bardziej radykalne montaże, co prowadzi do znieczulenia na przemoc i uznania jej za atrakcyjny trend.

Zaledwie kilka godzin po strzelaninie na krakowskim Rynku Głównym na TikToku zaczęły się pojawiać filmiki wpisujące 25-letniego zamachowca w estetykę TCC. Na jednym z wiralowych filmów uzbrojony mężczyzna w mundurze tańcował na tle zdjęć z miejsca masakry. Materiał był opatrzony symbolami czaszek oraz dopiskiem „-5", który odnosił się do ówczesnego bilansu ofiar.

Skrajny odłam TCC działa jak cyfrowa sztafeta: internetowa społeczność hoduje sprawcę, a jeśli dojdzie do aktu terroru, konsumuje go jako popkulturowy materiał, inspirując następców.

Kto strzeli pierwszy?

W jednym z wywiadów rzecznik Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości Michał Pietraszko zaznaczył, że służby stale monitorują internet pod kątem nawoływania do hobbystycznej eksterminacji ludności i pochwalania zbrodni. Nie rzucał słów na wiatr. W ciągu kilku dni po ataku w Krakowie doszło do fali zatrzymań obywateli niezdrowo podnieconych procederem, w tym grożących podobnej maści atrakcjami.

Jednocześnie minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak przyznał publicznie, że służby nie miały zamachowcy z Ostrowca Świętokrzyskiego na radarze przed zamachem. Podkreślił, że w przypadku osób działających w pojedynkę, bez powiązań z rozpoznanymi organizacjami ekstremistycznymi i posiadających legalnie broń sportową, standardowe procedury wywiadowcze nie generują wcześniejszych alertów.

Czy ten przypadek podpada pod definicję NVE? To muszą ustalić służby i wiele wskazuje, że nie będzie to łatwa diagnoza. Na pewno nie jest rolą polityków, żeby racjonalizować masakrę, klasyfikując ją według uszytych na własne potrzeby motywów. Polityczna polaryzacja zawsze będzie zamazywać realne zagrożenie.

IDALIA DUBICKA

* W całym tekście celowo ani razu nie padło imię i nazwisko sprawcy, ponieważ jego tożsamość nie zasługuje na utrwalenie w pamięci społecznej.

powiedzianej zbrodni

wie w kontekście



Rys. OBYWATEL JANEK

mionami. Tłuste jedzenie, brak ruchu, palenie papierosów czy nadużywanie alkoholu zwykle zabijają powoli i nie muszą budzić wielkich emocji. Prawie nikt nie rezygnuje z jazdy samochodem przez to, że wypadki drogowe codziennie zabijają ludzi. W skrócie: to, co codzienne i znajome, jawi się jako bezpieczne i dość przewidywalne.

Inaczej rzecz się ma z wydarzeniami niezwykłymi. Katastrofami lotniczymi czy aktami gwałtownej przemocy, dla nas – bo nie dla sprawcy czy sprawczyni! – nieuzasadnionej, wręcz absurdalnej. Polska jest krajem, w którym przemoc polityczna jak dotąd nie przybierała skrajnej postaci terroryzmu. Z tego względu takim szokiem dla opinii publicznej okazał się zamach Michała Oksińskiego. Zdarza się, że w porachunkach gangsterskich ucierpią osoby postronne, lecz sytuacja, w której ktoś po prostu poluje na ludzi w centrum dużego miasta jest zupełnie nowa.

Warto tu wprowadzić – za Zygmuntem Baumanem – rozróżnienie między bezpieczeństwem społecznym, socjalnym (po angielsku *security*) i bezpieczeństwem osobistym, fizycznym (*safety*). Łączy je więź dialektyczna:

im bardziej państwo wycofuje się z gwarancji bezpieczeństwa społecznego – ochrony przed bezrobociem, niedołężnością czy innymi wypadkami losowymi – tym bardziej pręży muskuły w sferze bezpieczeństwa fizycznego

(obiecując ochronę przed złodziejem, terrorystą, nagabującym nas bezdomnym czy dymem papierosowym).

Wiele wskazuje na to, że realnym skutkiem zamachu w Krakowie będzie próba zapewnienia sobie przez Polaków – szczególnie tych, których na to stać – bezpieczeństwa osobistego. Tymczasem skutkiem obwarowywania się przeciw wszelakim istniejącym i potencjalnym zagrożeniom, odseparowywania się od nich za pomocą murów i systemów bezpieczeństwa, jest tylko wzmaganie się wrażenia wszędobylskiego zagrożenia i nieporządku. Jak pisze Bauman w książce „Płynne czasy. Życie w epoce niepewności": jako że diagnoza jest z gruntu błędna – problem z obszaru pewności (pewności siebie i pewności o siebie bądź ich braku) zostaje przeniesiony do obszaru bezpieczeństwa (ochrony przed zagrożeniem siebie, bliskich i własności) – zaaplikowany lek jedynie pogłębia objawy choroby.

Kruchość życia

Odpowiedź na pytanie, czy zamachu w Krakowie można było uniknąć, jest dość banalna. Zdeterminowana osoba z bronią, która jest typowym samotnym wilkiem, a nie członkiem jakiejkolwiek grupy, w każdej chwili może dokonać masowej zbrodni. Oczywiście, swoje zrobił fakt, że Oksiński – jak donoszą media – uczył się tzw. strzelania bojowego, czyli typowego dla działań policyjnych czy wojskowych (zapewne uczyli go tego byli żołnierze – tyle w temacie murem za polskim mundurem), naśladującego realia zabijania ludzi.

Motywacje sprawcy nie są jasne, politycy pośpieszyli jednak z opiniami: Oksiński był prawakiem (KO), lewakiem (prawicowcy) lub szaleńcem (wielu innych). Media im wtórowały, w końcu od dawna są komorą pogłosową politycznych miernot. O tym, co w chwili, gdy zamachowiec jeszcze strzelał, a ciała ofiar leżały na krakowskim bruku, robił nadający na żywo Sakiewicz z TV Republiki nie chce mi się nawet gadać, już wiele osób przede mną tę podłość przeanalizowało.

Trudno też przypisywać za dużą wagę – choć i odwrotnie, nie należy tego lekceważyć – do odwiedzania przez Oksińskiego stron opisujących Andersa Breivika, norweskiego prawicowego ekstremistę, który 15 lat temu zamordował 77 osób. Nie wykluczam, że mogło chodzić wyłącznie o taktykę zamachu, jego ściśle wojskowy styl. Czy jest tu pokrewieństwo ideologiczne – na razie mamy zbyt mało danych, aby to rozstrzygnąć.

Miłość do broni

Ciekawym tropem jest uśmiercenie najbliższych (rodziców i jedynej siostry), które rozpoczęło masakrę – niełatwo oprzeć się wrażeniu, że być może zapalnikiem był jakiś konflikt rodzinny. W domu bez broni palnej kończyć się on może wrzaskami czy daniem sobie po pysku, ale gdy jest w nim parenaście sztuk broni krótkiej i długiej, rośnie chęć, by jej użyć, skoro jest pod ręką…

O Oksińskim wiemy w gruncie rzeczy niewiele. Kochał broń i wojsko, a nienawidził ludzi. I był żądny sławy, niczym szewc Herostrates, który w IV w. p.n.e. spalił Świątynię Artemidy w Efezie, niszcząc jeden z siedmiu cudów starożytnego świata. Sprawca też przeszedł do historii Polski w jedyny sposób, w jaki potrafił – mordując członków własnej rodziny i przypadkowych ludzi na krakowskim Rynku.

Oczywiście, fakt potężnego tąpnięcia generalnego poziomu dobrostanu psychicznego społeczeństwa – wynik pandemii koronawirusa i zamknięcia w domach, agresji rosyjskiej na Ukrainę i absurdalnego poziomu konfliktu politycznego – pewnie też odegrał swoją rolę w tej zbrodni.

Tak się rozmarzyłam, że ludzie w naszym kraju wyciągną ze zbrodni Oksińskiego wniosek, że trzeba bardziej dbać o siebie nawzajem i troszczyć o siebie i innych. Nie stawiałabym jednak na to dużych pieniędzy…

KATARZYNA KOENIG

eprasa.pl 6bb0996a4b

Władza dla ludu

Świat nie idzie grzecznie tam, dokąd kazali mu iść


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Od kilku dekad tłumaczono nam, że nie ma alternatywy. Rynek wie lepiej. Mieszkanie jest aktywem, szpital usługą, człowiek zasobem ludzkim, a praca czymś, za co należy być wdzięcznym. Jak cię nie stać na czynsz, to źle zarządzasz sobą. Jak twoje dziecko siedzi w przepełnionej klasie, to budżet ma ograniczenia. Jak korporacja zużywa wodę i prąd całego sąsiedztwa, budując centrum danych, to nazywa się to technologią przyszłości. I oto coś zaczyna pękać.

Nie pod jednym sztandarem, nie w jednym kraju. We Francji, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Belgii, Albanii, Serbii, Stanach Zjednoczonych, Brazylii. Ludzie wychodzą na ulice, zakładają związki, rozbijają namioty na placach, blokują inwestycje, głosują przeciw autorytarnej prawicy, żądają mieszkań, płac, emerytur, szkół, wody, prądu i prawa do decydowania o własnym życiu. To jeszcze nie jest rewolucja. Ale to jest już odmowa posłuszeństwa.

Bunt ma dwie drogi

Bunt przeciw neoliberalnemu kapitalizmowi ma dziś dwa oblicza. Jedno jest potworne – faszyzm i jego nowoczesne przejawy. Faszyzm rodzi się z kryzysu – kryzysu wartości i ekonomii. Lęk przed utratą pozycji społecznej, utrata poczucia bezpieczeństwa, rozpad usług publicznych, wyzysk, nierówności i poczucie, że nikt nad niczym nie panuje, są znakomitym pokarmem dla nowego autorytaryzmu. Taki stan to eldorado dla polityków, którzy nie powiedzą człowiekowi: „twoją pensję zjada system” – powiedzą: „zjada ją imigrant”. Zamiast „mieszkania wykupił kapitał” – „zabrali ci je obcy”. Zamiast „państwo oddało władzę rynkom” – „to wszystko przez feministki, gejów, lewaków, uchodźców, nauczycieli, ekologów” (niepotrzebne skreślić).

Tak działa współczesny faszyzm: bez brunatnych koszul i marszów z pochodniami. Pogarda dla słabszych, wróg wewnętrzny, kryminalizacja protestu, strefy wolne od LGBT, graniczny pushback i odebranie praw do azylu, deregulacja, podporządkowanie demokracji interesom wielkich pieniędzy i przyzwyczajanie ludzi do myśli, że prawa człowieka są przeszkodą w skutecznym rządzeniu. Trump jawnie łamie zasady demokracji, tworząc oligarchiczny system autokracji. W Niemczech plajta moralna neoliberalnego centrum wzmacnia AfD. W Brazylii prawica po przegranych wyborach kwestionuje wynik. Ale nie jest to jedyna droga.

Spójrz na mapę

Bo opowieść, że cały świat idzie w prawo, jest po prostu fałszywa. 25 października we Francji na ulice wyszło około 410 tys. ludzi, w tym 110 tys. w Paryżu. Protesty zaczęły się od problemów szkół i edukacji, ale wobec rządowej obstrukcji przerodziły się w wielką mobilizację przeciw kosztom życia. Zatrzymano 1314 osób.

W Portugalii w Lizbonie, Porto i Coimbrze dziesiątki tysięcy ludzi żądały wyższych płac i emerytur. Organizatorem był wielki związek zawodowy CGTP. W Stanach Zjednoczonych trwa ruch „No Kings” przeciw polityce Donalda Trumpa. W Hiszpanii od końca września trwają obozy protestacyjne na Puerta del Sol i innych placach. Ludzie protestują przeciw astronomicznym czynszom i traktowaniu mieszkania jak produktu inwestycyjnego. We Włoszech protestowano w Rzymie i Mediolanie, a ruch pracowniczy zapowiedział strajk generalny. W Belgii protestowano w Brukseli i Liège. W Albanii tysiące ludzi wyszły na ulice w proteście przeciw korupcji i sytuacji w szkolnictwie wyższym. To już nie są incydenty. To jawna siła protestu.

I jeszcze ważniejsza wiadomość: ludzie nie tylko protestują. Czasem wygrywają. W Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva pokonał w drugiej turze Flávia Bolsonaro; większość wyborców powiedziała „nie” politycznej kontynuacji bolsonaryzmu. W Serbii protest po śmierci 16 osób w katastrofie dworca w Nowym Sadzie wyrósł na wielki ruch studencki przeciw korupcji i osłabianiu demokracji. Lista Studencka wygrała wybory. W Niemczech AfD wygrywa w części landów, ale jednocześnie Die Linke zwyciężyła w Berlinie.

Neoliberalny kapitalizm chwieje się i upada, popychając ludzi ku skrajnej prawicy albo ku lewicy. I właśnie o to toczy się dziś walka. Nie o to, czy ludzie są wściekli. Są. Nie o to, czy neoliberalny porządek traci legitymację. Traci. Pytanie brzmi: kto przejmie ten gniew?

Mieszkanie jest do mieszkania

W Hiszpanii i Portugalii młodzi obozują w centrach miast, bo nie stać ich na samodzielne życie. Impulsem dla hiszpańskiej debaty była między innymi głośna eksmisja 87-letniej kobiety. Bo co właściwie znaczy „rynek mieszkaniowy”, gdy mieszkanie kupuje fundusz, żeby podbić cenę, a człowiek mieszka z rodzicami do czterdziestki? Rynek to miejsce, gdzie ludzie dobijają targu. Tu normalny człowiek za średnią pensję nie jest w stanie nic utargować. To reguły dla zideologizowanej neoliberalnej polityki; koncert własności, a nie demokracji. Ale skoro reguły ustanowili ludzie, ludzie mogą je zmienić.

Młodzi już to rozumieją. Protestują przeciw systemowi, który mówi: ucz się, pracuj, konkuruj, dokształcaj się, bierz kredyt, bądź elastyczny – a na końcu może dostaniesz pokój na wynajem, umowę na trzy miesiące i możliwość pracy do siedemdziesiątki. Tak, to jest „roszczeniowe pokolenie” – roszczeniowe, bo żąda władzy i po nią sięga. Roszczeniowe, bo żąda zmiany systemu i praw, jakie powinna nieść cywilizacja.

Jeszcze niedawno wmawiano nam, że związki zawodowe to relikt przynależny fabryce z kominem. Tymczasem w USA pracownicy Starbucksa rozpoczęli „Red Cup Rebellion” – największą akcję strajkową w historii firmy obejmującą 130 miast. Także pracownicy Amazona walczą o związki, wyższe płace, lepsze warunki pracy i pierwsze umowy zbiorowe. To jest piękne pęknięcie neoliberalnego mitu. Dziwne tylko, że polskie mainstreamowe media wolą dbać o spokój swoich reklamodawców, zamiast mówić i analizować, co naprawdę ważnego dzieje się na świecie. Człowiek nie buntuje się przeciw nowoczesności. Buntuje się przeciw nowoczesności urządzonej tak, że wartość firmy rośnie szybciej niż bezpieczeństwo ludzi, którzy tę wartość tworzą.

Amerykańscy oligarchowie zbijają kasę na swej nowej zabawce: AI, które ma być zbawieniem ludzkości. Amerykanie jednak postrzegają władzę miliarderów nad internetem i AI jako zagrożenie. W pierwszym kwartale 2026 r. lokalne protesty zablokowały albo opóźniły co najmniej 75 projektów centrów danych o wartości około 130 mld dol. Liczba aktywnych grup protestu w USA wzrosła do 833 w 49 stanach. W samym lipcu odbyły się tam 142 protesty w 42 stanach. W Chile mieszkańcy i sąd zmusili Google do przeprojektowania planowanego centrum w Santiago. W Australii organizacje domagają się moratorium. W Wielkiej Brytanii kampania „Stop Dirty Data Centres” łączy walkę o klimat, wodę i prawa lokalnych społeczności.

130 mld dol. za centra danych... I okazuje się, że można powiedzieć „nie”. Bo kapitał to nie prawo grawitacji.

A gdzie jesteśmy my?

No właśnie. Gdzie w tej mapie jest Polska? Naprawdę sądzisz, że ominęły nas te same pytania? Czy mieszkanie ma służyć do mieszkania, czy do pomnażania majątku? Czy szkoła ma wychowywać i uczyć, czy tylko przetrwać kolejne cięcie? Czy szpital ma leczyć, czy domykać budżet i paść cwaniaków na kontraktach? A pracownik? Czy ma czuć się bezpiecznie, czy być stale „elastyczny” dla kapitału?

Polski bunt może jeszcze nie ma jednego placu, jednego hasła i jednej flagi. Ale to nie znaczy, że go nie ma. Jest w złości lokatora, nauczycielki, emeryta, pracownika widzącego rekordowy zysk firmy i własną wypłatę stojącą w miejscu. W młodym człowieku, który zrobił wszystko, co mu kazano, i nadal nie może zacząć dorosłego życia. Pytanie nie brzmi: czy gniew przyjdzie. On już jest. Tylko nie wiemy jeszcze, kto mu nada język.

Faszyzm jest mistrzem kradzieży gniewu. Bierze prawdziwy ból i wskazuje fałszywego winnego. Bierze lęk przed biedą i przerabia go na nienawiść do biedniejszego. Bierze gniew na elitę i oddaje władzę jeszcze brutalniejszej elicie. Lewica musi zrobić coś dokładnie przeciwnego.

Powiedzieć: twój wróg to nie kurier czy pracownik kebabu. Nie ten, kto prosi o azyl. Nie osoba kochająca osobę tej samej płci. To także nie jest twoja sąsiadka na zasiłku.

Twój problem zaczyna się tam, gdzie twoje życie zostało podporządkowane cudzej stopie zwrotu, marży na cenach żywności czy robocie na „minimalce”. I wtedy nagle okazuje się, że jest nas więcej.

Ludzie mają władzę

Ktoś powie: to tylko protesty. Jeszcze nie rewolucja. Oczywiście. Ale spójrz jeszcze raz. 410 tys. we Francji. Dziesiątki tysięcy w Portugalii. Obozy lokatorskie w Hiszpanii. Protesty w Rzymie i Mediolanie. Studenci w 13 krajach. Związkowcy w 130 amerykańskich miastach. 833 grupy walczące z centrami danych. Die Linke wygrywająca w Berlinie. Lula zwyciężający w Brazylii. To nie jest dowód, że lewica już wygrała. To jest dowód, że nie musi wygrać faszyzm. Tylko musisz umieć go dostrzec – nawet tam, gdzie ukrywa się w przebraniu – i stanąć po przeciwnej stronie.

Świat stoi na rozdrożu. Jedna droga prowadzi do wodza, granic, policji, kozła ofiarnego i wielkiego kapitału schowanego za narodową flagą. Druga prowadzi do odbudowy wspólnoty, praw pracowniczych, mieszkań, usług publicznych, demokracji i przekonania, że gospodarka jest po to, by służyć ludziom.

Nie wiem, którą drogę wybierzemy. Ale wiem jedno: nie wierz tym, którzy mówią ci, że wszystko już postanowione. Ludzie znów wychodzą na ulice. Ludzie znów organizują się w pracy. Ludzie znów wygrywają wybory. Ludzie znów mówią, tak jak ja tutaj i nasz tygodnik: „nie”.

A kiedy ludzie przypominają sobie, że mają władzę, historia przestanie być własnością tych, którzy mają pieniądze.

ANNA GRODZKA

Kiedy walka klas?

SŁOWO CZERWONE

Zawsze jest jakiś faraon do obalenia

80 proc. Francuzów popiera demonstracje. Media pokazują akcje policji i starcie z demonstrantami, a przecież protesty uczniów i nauczycieli przeciw niedofinansowaniu oświaty są sensowne i pokojowe. Uczniowie twierdzą, że fakt, że w blokadach szkół stoją z nimi ich nauczyciele, dodaje protestowi wiarygodności. Kamery jednak szukają zadymy i czasu emisyjnego nie wystarcza na przedstawienie racji protestujących grup, związkowców, żółtych kamizelek, uczniów i studentów. A mimo to Francuzi wiedzą, o co chodzi w protestach, i je popierają. To nie grupki ekstremistów – prawie cały naród jest zbuntowany. Dlatego członkowie rządu, chcąc nie chcąc, muszą spotykać się z przedstawicielami zbuntowanego ludu francuskiego.

W Hiszpanii, kiedy korporacja wyeksmitowała staruszkę, 87-letnią Maricarmen, na ulicę wyszły setki tysięcy. Kobietę do mieszkania przywrócono, po czym zmarła. A niedawno zorganizowano strajk generalny w obronie praw lokatorów. Pracę przerwał milion ludzi. W akcji udział wzięło 20 tys. organizacji społecznych i dwie największe centrale związkowe. Niskie płace i wysokie czynsze to najważniejsze przyczyny tego wybuchu społecznego. Strajk generalny 11 listopada w intencji pomocy państwa lokatorom poparło 73 proc. Hiszpanów. Taki strajk w Polsce byłby nielegalny, bo u nas strajków solidarnościowych organizować nie wolno.

W Europie asfalt się pali, bo pensje nie rosną, a koszty utrzymania owszem. Polacy na czynsz wydają przeciętnie ponad połowę wynagrodzenia. A przecież w większych miastach, np. w Warszawie, pensja początkującej nauczycielki, 3900 zł, ledwo wystarcza na wynajęcie skromnego mieszkania – 3000 zł to minimum i trudno takie znaleźć. W Hiszpanii proporcje są podobne, tylko że tam na ulicę wyległo w samym Madrycie 300 tys. osób w proteście przeciw eksmisji staruszki. U nas eksmisje, nawet te nielegalne, przechodzą bez echa, a osoby próbujące je blokować zaciąga się przed sądy i każe grzywnami.

W Polsce wysokie czynsze i niskie zarobki, cięcia wydatków na pomoc społeczną, oświatę i ochronę zdrowia w imię walki z deficytem nikogo nie mobilizują, a wielka demonstracja patriotyzmu 11 listopada nie niosła na sztandarach haseł społecznych, tylko szowinistyczne. Nic o czynszach, nic o wyzysku, nic o biedzie. Ci, którzy zarabiają na skrajnej nierówności, cynicznie się podśmiewają, że widocznie Polakom jest tak dobrze, że nie mają powodu do protestów.

Obok haseł socjalnych na sztandarach protestujących Francuzów, Niemców, Hiszpanów, Greków są hasła antykapitalistyczne. U nas nie, u nas ciągle winna jest komuna, której już tak dawno nie ma.

Byłem na wiecu zbuntowanych lokatorów warszawskiej Spółdzielni Torwar, gdzie zarząd i rada nadzorcza olewają walne zgromadzenie i wbrew opinii najwyższego organu władzy w spółdzielni forsują budowę wieżowca na dwóch parkingach pośród bloków, co mogłoby odciąć sąsiadów od widoku nieba, od światła.

Narzekając na twardogłowych oszustów z władz Torwaru, spółdzielcy porównują ich do komuchów. A jednak ta zła komuna budowała miasto dla ludzi i nie odcinała lokatorów od światła, mimo że nie było wtedy demokracji. Teraz demokracja jest, ale bogaci mają ten luksus, że mogą deptać nasze prawa.

Na razie jest na szczęście remis, bo prezydent cofnął pozwolenie na budowę. Prawa wprawdzie są, ale trzeba z całych sił walczyć o ich respektowanie.

Na Zachodzie ludzie wierzą, że gospodarka służy zaspokajaniu ważnych potrzeb społecznych. Polacy godzą się na to, aby służyła bogaceniu się nielicznych. Ci nieliczni napuszczają nas na siebie i śpią spokojnie. Bo my wciąż wierzymy naiwnie, że kapitalizm jest dobry i racjonalny.

Zbieramy podpisy pod społecznym projektem ustawy, który czyni prawo do strajku wykonalnym. Ludzie, do których podchodzę, upewniają się po której jesteśmy stronie: PO czy PiS. W tych pytaniach jest tyle ognia, że obawiam się, że poszczuci przez liderów obu partii rzucą się sobie do gardeł. I taka energia, którą można by spożytkować do walki o sprawiedliwość społeczną, pójdzie w gwizdek.

Jakieś półtora tysiąca lat temu w starożytnym Egipcie wybuchła rewolucja społeczna, niewolnicy i ubodzy zbuntowali się i obalili władzę faraona. Tak się zaczęło, a walka trwa do dziś. Zawsze jest jakiś faraon do obalenia.

PIOTR IKONOWICZ

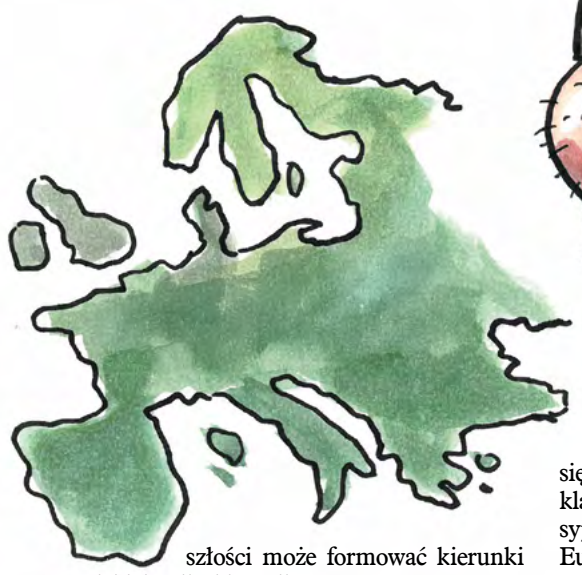


Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 6bb0996a4b

Europa i rosyjska dupa

Ten foch nie służy ani nam, ani im





Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Gdy w 2014 r. rozmawiałem w Moskwie z Siergiejem Karaganowem, jednym z najbardziej wpływowych rosyjskich politologów, na koniec naszej rozmowy dał mi plik papierów. Powiedział, że to jego pomysły dla Rosji na najbliższą przyszłość.

Przeczytałem je później. To były szkice, uzupełniające naszą wcześniejszą rozmowę. Pamiętam, że kiedy już wysłuchałem – wtedy będących nowością – pomysłów, że Rosja musi skierować się na wschód, na Syberię i tworzyć nowy porządek społeczny i gospodarczy, to zapytałem wreszcie: „A co z demokracją, podobną do europejskiej?". Karaganow uśmiechnął się i odpowiedział: „Będzie. Ale potem, jak już wszystko przebudujemy. Taka wisienka na torcie".

Ostrokół zbrojeń i wojna religijna

Długą drogę przebył Siergiej Karaganow od naszej ówczesnej rozmowy. Dziś, nie tracąc nic ze swojej wpływowej roli w Rosji, o Europie mówi z nieskrywaną niechęcią. Nawet zaryzykowałbym twierdzenie, że ozdabia ową niechęć elementami nienawiści. Swobodnie operuje słowami o unicestwieniu pojedynczych krajów europejskich, stosując kryterium religijne. To może być zaskoczenie, ale tylko dla tych, którzy nieuważnie śledzą rosyjskie trendy polityczne. Religia w zbiorze argumentów przeciwko Zachodowi zajmuje poczesne miejsce.

Ostatnio, w programie „Prawo wiedzieć" z września tego roku, Karaganow w swojej koncepcji odwracania się Rosji od Europy podzielił Europę na dwie części. Po okresie, nazwijmy to, kwarantanny – 15–20 latach – Rosja łaskawie zaproponuje jakieś formy współpracy krajom Europy Wschodniej i Południowej. Ciekawskim nie odpowiem, czy w tym kręgu znajduje się Polska, bo nic o niej konkretnie nie mówił. Ale być może. Natomiast, jak powiedział, ze współpracy należy wykreślić kraje północy i zachodu Europy, kraje „kalwińskiej Europy", będącej „tym, co jest teraz najgorsze na świecie".

Karaganow jest zdania, że Europę trzeba wykreślić na długo z optyki rosyjskiej polityki zagranicznej. Odgrodzić od niej „ostrokołem zbrojeń" i nie dawać się wciągnąć w europejskie wojny, bo „Europa genetycznie nie jest zdolna do pokoju". Mówił też, że Rosja musi zapomnieć, że jest europejskim krajem, bo jest „euroazjatyckim".

Streszczam pospiesznie te poglądy Sergieja Karaganowa nie tylko dlatego, że jest jednym z rzeczywiście najbardziej wpływowych uczonych w otoczeniu Władimira Putina. I nawet nie dlatego, że jest człowiekiem, który publicznie i jako jeden z pierwszych wezwał do prewencyjnych uderzeń jądrowych na Polskę i inne kraje europejskie. Przede wszystkim dlatego, że poglądy Karaganowa na miejsce Europy w rosyjskiej polityce zagranicznej jest reprezentatywne dla części rosyjskiej elity politycznej.

Części, bo wielu jego kolegów krytykuje jego nagłą prowojenną radykalizację i przeskok na pozycję jednego z najbardziej nieprzejednanych jastrzębi rosyjskiej polityki. W każdym razie warto popatrzeć na te jego poglądy, które mogą w niedługim czasie istotnie wpłynąć na wybory Rosji na kierunku europejskim.

Niepotrzebni, nielubiani

Ten antyeuropejski kierunek myślenia politycznego pokazał jeszcze jeden sławny Rosjanin, wielki i znakomity twórca filmowy, który zaangażował się w ostatnich latach w działalność publicystyczną, bardzo popularną. Mówię o Nikicie Michałkowie, światowej sławy reżyserze, którego filmy zdobywały nagrody w Cannes, Berlinie, Hollywood i w wielu miejscach liczących się dla kultury światowej. Dziś prowadzi program „Biesogon", którego każde wydanie oglądane jest przez 18–20 mln widzów. Oczywiście dla polskich mediów jest wyłącznie „pierwszym piewcą reżimu", bo nikomu z pracowników mediów nie chce się zastanowić, skąd bierze się niesłychana popularność tych programów. Ale mniejsza o to. Michałkow na wrześniowym Festiwalu Połączonych Kultur w Petersburgu również wygłosił słowa, które dobrze charakteryzują ten nurt myślenia politycznego. Odpowiadając na pytanie z sali, czy Rosja nie powinna wzmocnić swojego przekazu na Zachód, by pokazać swoje stanowisko i wesprzeć ludzi sympatyzujących z Rosją, Michałkow odpowiedział, że w żadnym wypadku.

„Nasz świat jest nie do przyjęcia przez Zachód do momentu, gdy nie zderzą się z własnym samounicestwieniem i nie przyjdą do nas ze słowami »ratujcie«. Co z tego, że ileś osób przyjedzie na nasze festiwale i wyjadą stąd z dobrymi emocjami? Nie są nam potrzebni. Nikt nam nie jest potrzebny".

I w tym duchu jeszcze kilkanaście zdań.

Nie uważam powyższych poglądów za barwny margines. To, jako się rzekło, jeden z nurtów; ale taki, który może wziąć górę i w najbliższej przyszłości może formować kierunki europejskiej polityki Rosji.

No, nie rozpędzajmy się – będą niuanse. Dotyczyć będą pojedynczych państw i to o tyle, o ile dana sytuacja danego europejskiego partnera do rozmów będzie w interesach Rosji. Dogadają się w jednej konkretnej sprawie i rozejdą się, by dalej funkcjonować oddzielnie, bez sympatii i emocji. Taką postawę prezentować będzie przede wszystkim Rosja.

Co więcej, preferowanymi przez Rosję europejskimi kontaktami będą takie, których pobocznym – choć nie najmniej ważnym – efektem będzie gra na utrwalenie podziału Europy. Oczywiście rozumiem tych wszystkich, którzy w tym momencie powiedzą: „A nie mówiliśmy? Przecież Rosja marzy o rozbiciu europejskiego cudu i wybraniu jej poszczególnych elementów gołymi rękoma". Niezupełnie to tak wygląda. Rosja przez długie lata była gotowa kształtować swoje poprawne stosunki z Europą zebraną w Unię Europejską – pod warunkiem że będą właśnie poprawne i Unia będzie przewidywalna choćby w sprawach jej relacji z Chinami, państwami Środkowej Azji i innymi wyzwaniami światowej polityki międzynarodowej. Od momentu jednak, kiedy stało się jasne, że europejska klasa polityczna jest gromadą nieprzewidywalnych i słabo ogarniętych polityków zorientowanych na konflikt z Rosją, ta ostatnia wycofała się ze swoich pomysłów. Teraz patrzy na sprawy europejskie chłodno, bez emocji i sympatii. Z niechęcią przemieszaną ze wstrętem.

Chińskie obietnice

W swoim ostatnim programie „Biesogon" Michałkow łaskawie dopuścił, by Europa uścisnęła wyciągniętą do niej dłoń Rosji, bo to dla niej jedyny ratunek. Możliwe. Szczególnie wobec, jak się rzekło, dość słabej intelektualnie europejskiej klasy politycznej. Jednak proponowana przez rosyjskich nacjonalistów recepta, by zaprezentować Europie rosyjską tylną część ciała, grzeszy nadmiernym optymizmem.

Bo tak, Chiny i Rosja potrzebują się nawzajem, szczególnie w obecnej chybotliwej sytuacji międzynarodowej. Jednak to nie będzie trwać wiecznie – zresztą sam Karaganow o tym wspominał, mówiąc, że na 15–20 lat Rosja będzie z Chinami związana strategicznym partnerstwem. A co potem? Może Rosja będzie wciąż potrzebna Chinom jako dostarczyciel surowców i rynek zbytu dla chińskich technologii, ale przede wszystkim jako dodatkowy zderzak w przypadku konfliktu z kolektywnym Zachodem, na czele z USA. Nie można tego wykluczyć. Tak samo jak nie można wykluczyć, że dysproporcje i sprzeczności osiągną poziom nie do zniesienia dla obu stron. Nie musi się to zaraz skończyć wojną – ale może frustracją Rosji, która nie będzie potrafiła zaakceptować pozycji młodszego partnera. Wtedy będzie skazana na jakąś samotność. Nawet jeśli przyjąć, że Europa też stanie się ofiarą zmieniającego się świata i pozostanie skansenem – co wróży jej Mario Draghi – to jednak skansen pozostanie wciąż z liczbą około 400 mln mieszkańców (przy 140 mln w Rosji) i potencjałem, którego nie należy lekceważyć.

Prawdą jest, że Europa w ciągu ostatnich 10 lat zrobiła bardzo wiele, by pokazać się jako region, który kilkoma ruchami zaprzepaszcza swój dorobek i szacunek, jakim cieszył się na świecie, a rządzący nim politycy to grupa niebezpiecznych pacjentów psychiatryka. Jednak rosyjski foch wydaje się zachowaniem nad wyraz ryzykownym dla Rosji samej. Kilka lat temu Putin powiedział jakiemuś dziennikarzowi: „Nie skreślajcie Europy". No właśnie.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Bibi forever?

Kto utworzy rząd Izraela

Z końcem października w Izraelu odbyły się wybory do Knesetu. Blok prawackich, nacjonalistycznych i religijnych partii skupionych wokół Binjamina Netanjahu zdobył 53 mandaty, cztery partie prawicowe, centrowe i lewicowe tworzące obóz opozycji Gadiego Eisenkota – 48. Pozostałych 19 mandatów przypadło dwóm listom reprezentującym arabską mniejszość Izraela.

Wyniki nie dały żadnemu blokowi większości 61 mandatów, co doprowadziło do impasu. W rezultacie partie kierowane przez Arabów, które odniosły historyczny sukces, stały się potencjalnymi – choć budzącymi polityczny ferment – decydentami o losach koalicji. Ich współpraca z opozycją może doprowadzić do odsunięcia Bibiego od władzy.

Element arabski

Arabowie stanowią blisko jedną piątą ludności Izraela. Latami bojkotowali wybory, uznając je za legitymizowanie systemu, który traktuje ich jak podludzi. Tym razem podbili frekwencję, żeby odsunąć od władzy skrajnie prawicowy i antypalestyński rząd.

Netanjahu wynik wyborów przyjął z charakterystycznym dla siebie wkurwem. Wraz ze swoim zapleczem zaczął kolportować oskarżenia o kradzież głosowania. Wzrost poparcia dla partii arabskich tłumaczył kolejno: fałszerstwami, przekupywaniem wyborców i zagraniczną ingerencją, w tym rzekomym wsparciem Kataru i Turcji. Mimo kilku incydentów w trakcie głosowania zarzuty te nie zostały poparte dowodami potwierdzającymi systemowe wałki. Gadi Eisenkot w odpowiedzi zarzucił Netanjahu prowadzenie zorganizowanej kampanii mającej podważyć wyniki wyborów.

8 listopada prezydent Izraela Izaak Herzog powierzył misję utworzenia rządu liderowi, który jego zdaniem ma na to największe szanse. Jak się okazało, nie był nim przywódca największej partii.

W czasie konsultacji prezydenta z delegacjami partii, które weszły do Knesetu, poszczególne ugrupowania deklarowały, kogo widzą na stanowisku premiera. Eisenkot otrzymał aż 67 rekomendacji, podczas gdy za zleceniem tego zadania Bibiemu było tylko 46 posłów.

Największym wyzwaniem dla opozycji jest teraz przełożenie liczby zdobytych mandatów na realną większość rządową. Arytmetyka wydaje się sprzyjać obozowi Eisenkota. Jego 48 mandatów w połączeniu z 19 mandatami ugrupowań arabskich wystarczyłoby do odsunięcia Netanjahu od władzy. Nie oznacza to jednak, że Eisenkot może po prostu zaprosić arabskie partie do rządu.

Lider opozycji sformułował warunki, jakie musi spełnić każde ugrupowanie, które mógłby zaprosić do współpracy: uznać Izrael za państwo żydowskie i demokratyczne, a Hamas – za organizację terrorystyczną.

Gadi osaczony

Zjednoczona Lista, którą tworzą działacze lewicowi i palestyńscy, określa siebie jako demokratyczną alternatywę dla syjonizmu. Choć członkowie ugrupowania potępili zabijanie cywilów podczas ataku z 7 października 2023 r., odmawiają uznania Hamasu za organizację terrorystyczną. Lider arabskiej partii Ra'am, Mansour Abbas, zaakceptował większość postulatów Eisenkota i potępił atak z 7 października jako „rozdzierający serce" – jednak jak dotąd również oficjalnie odmawiał nazwania Hamasu grupą terrorystyczną.

Nawet gdyby im się odmieniło, wejście jakiejkolwiek partii arabskiej do rządu wykluczył publicznie jeden z kluczowych prawicowych sojuszników Eisenkota w bloku opozycyjnym, lider partii Nasz Dom Izrael Awigdor Lieberman. Domagał się rezygnacji z takiego scenariusza i proponował zamiast niego pozyskanie partii ultraortodoksyjnych. Ten pomysł również może nie dojść do skutku.

Oprócz dwóch wymienionych wcześniej zasad Eisenkot zażądał od potencjalnych koalicjantów akceptacji wartości Deklaracji Niepodległości Izraela oraz wprowadzenia powszechnego obowiązku służby wojskowej lub cywilnej dla wszystkich obywateli. Ostatni postulat uderza bezpośrednio właśnie w ultraortodoksyjne partie (Zjednoczony Judaizm Tory i Szas), które mogłyby stanowić alternatywę dla głosów posłów arabskich. Ich liderzy traktują zachowanie przywileju zwolnienia ze służby wojskowej jako sprawę egzystencjalną, broniąc swoich wyborców przed oderwaniem od studiów religijnych i wpływami świeckiego społeczeństwa.

Eisenkot musi zatem znaleźć partnerów zapewniających większość, a jednocześnie nie doprowadzić do rozpadu własnego obozu. Co, jeśli tak się nie stanie?

Nadzieja w mniejszości

Istnieje opcja utworzenia rządu mniejszościowego, opartego na 48 mandatach żydowskich partnerów politycznych, ale korzystającego z zewnętrznego poparcia arabskich posłów. Eisenkot nie musiałby wówczas dysponować 61 głosami. W izraelskim parlamencie rząd może uzyskać wotum zaufania zwykłą większością głosów oddanych w głosowaniu. Gdyby zatem część posłów arabskich poparła jego gabinet, a pozostali wstrzymali się od głosu, Eisenkot mógłby objąć władzę bez formalnego sojuszu ze wszystkimi arabskimi ugrupowaniami.

Szacuje się, że głównym celem takiej konfiguracji byłoby przepchnięcie regulacji mających uniemożliwić powrót Bibiego na stołek premiera.

Netanjahu oczywiście skrytykował decyzję prezydenta Herzoga i rozpowiada, gdzie może, że rząd współtworzony z Arabami oznaczałby dla kraju katastrofę. Dlatego przedstawił propozycję utworzenia rządu jedności narodowej z udziałem Eisenkota. Ten wariant pozwoliłby uniknąć jakiegokolwiek sojuszu opozycji z partiami arabskimi – ale wydaje się absurdalny. Wejście do rządu z Bibim oznaczałoby konieczność porozumienia się Eisenkota z politykiem, którego obóz próbuje przecież odsunąć od władzy.

Dla Netanjahu byłaby to szansa na utrzymanie wpływu na rządzenie i uniknięcie politycznej marginalizacji. Podobny przypadek miał miejsce w 2022 r., kiedy po trzech turach wyborów zakończonych impasem Netanjahu porozumiał się z liderem opozycji Bennym Gancem. Obaj politycy na zmianę obejmowali urząd premiera. Układ przetrwał rok, po czym do władzy wrócił Bibi.

Gadi Eisenkot ma czas na utworzenie rządu do 6 grudnia, z ewentualnym wydłużeniem terminu o 14 dni. Jeśli do tego czasu misja się nie powiedzie, prezydent powierzy zadanie Netanjahu. W przypadku braku zawiązania rządu posłowie Knesetu mogą wskazać kolejnego kandydata. Musi go poprzeć co najmniej 61 deputowanych. Wyznaczony w ten sposób polityk dostaje 14 dni na próbę utworzenia gabinetu. Jeśli i ta próba zakończy się niepowodzeniem, Kneset zostanie rozwiązany i odbędą się przedterminowe wybory.

Najgorsza wiadomość jest taka, że do zaprzysiężenia nowego rządu Binjamin Netanjahu pozostanie premierem tymczasowym.

IDALIA DUBICKA



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 6bb0996a4b

Nikomu nie chce się po nie sięgnąć

Bogactwo zakopane na amen



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Gdyby wierzyć doniesieniom o kolejnych odkryciach geologicznych, Polska powinna być jednym z najbogatszych państw Europy. Pod ziemią mamy bowiem miliardy metrów sześciennych wody, gorące źródła, miedź, srebro, wolfram, molibden, kobalt, wanad, tytan, cynk, ołów, siarkę, baryt, fluoryt i surowce do produkcji nawozów. Jest nawet ropa naftowa pod Bałtykiem. Nie mamy tylko gazu łupkowego, który kilkanaście lat temu miał zrobić z nas drugi Katar. Według Państwowego Instytutu Geologicznego na koniec 2025 r. mieliśmy udokumentowane 15 194 złoża kopalin. Dlaczego kraj posiadający takie bogactwa nie potrafi zrobić z nich większego gospodarczego użytku? Dlaczego Polska, która potrafiła zbudować jeden z największych koncernów miedziowych świata, nie potrafi zdecydować, co zrobić z własną ziemią?

Amerykanin cię wykopie

Na początku października pojawiła się wiadomość, że Amerykanie zainteresowali się Myszkowem. Nie że zakochali się w jurajskich krajobrazach, ale ponieważ pod miastem znajdują się złoża wolframu, molibdenu i miedzi. Wolfram jest wykorzystywany w produkcji narzędzi, specjalistycznych stopów i uzbrojenia, molibden zwiększa wytrzymałość stali, a miedź jest niezbędna w energetyce, elektronice i motoryzacji. Czyli właściwie w całej nowoczesnej gospodarce.

Złoża pod Myszkowem nie zostały jednak odkryte przez Amerykanów. Polscy geolodzy badają je od około 50 lat. Pół wieku wystarczyło, żeby potwierdzić występowanie cennych metali, ale nie wystarczyło, żeby uruchomić ich wydobycie. Teraz trzy polskie spółki podpisały dwuletnie porozumienie z amerykańską M2i Global. I to zagraniczni partnerzy zamierzają ocenić potencjał geologiczny, techniczny i ekonomiczny przedsięwzięcia oraz poszukać inwestorów.

Jeszcze ciekawiej wygląda sprawa Nowej Soli, gdzie kanadyjska Lumina Metals rozwija projekt wydobycia miedzi i srebra. W spotkaniach zorganizowanych w Londynie, Polsce i Zurychu uczestniczyło 70 inwestorów z 10 państw, reprezentujących instytucje zarządzające aktywami przekraczającymi 200 mld dol. Nie oznacza to oczywiście, że tyle pieniędzy zamierzają zainwestować w polską kopalnię. Kanadyjczycy przekonują jednak, że Nowa Sól może stać się strategicznym źródłem surowców dla Unii Europejskiej. Najzabawniejsze jest to, że chodzi o tereny położone niedaleko miejsc, w których polski KGHM wydobywa miedź i srebro od dziesięcioleci. Nie o nieznany obszar w środku Afryki, ale o monoklinę przedsudecką, którą nasi geolodzy znają jak własną kieszeń.

Miedź światowa, niemoc krajowa

KGHM nie jest prowincjonalną spółdzielnią kopaczy. To jeden z najważniejszych producentów miedzi i srebra na świecie, posiadający kopalnie i inne aktywa górnicze w Polsce, Stanach Zjednoczonych, Chile i Kanadzie. Firma potrafi szukać nowych złóż za oceanem, oceniać ich potencjał i rozwijać przedsięwzięcia w różnych systemach prawnych. Dlaczego zatem w Polsce podobne projekty mają rozwijać zagraniczne firmy?

Nie można też twierdzić, że w Polsce nie ma fachowców. Zachowaliśmy wszakże zdolność budowania i prowadzenia kopalń głębinowych. Mamy geologów, inżynierów, specjalistów od przeróbki rud, konstruktorów maszyn górniczych i doświadczonych pracowników. O co więc chodzi?

Z wodą jest jeszcze zabawniej. Od lat słyszymy, że Polska wysycha, a rolnicy będą musieli pogodzić się z coraz częstszymi suszami. Tymczasem pod znaczną częścią kraju znajdują się ogromne zasoby wód podziemnych. Polodowcowe struktury wodonośne występują na około trzech czwartych powierzchni Polski. Według badań na obszarze Niziny Wielkopolskiej obejmującym około 38 tys. km kw. oszacowano zasoby wód podziemnych na 80 mld m sześc.

Nie oznacza to oczywiście, że całą tę wodę można wypompować, ale według Państwowego Instytutu Geologicznego zasoby dyspozycyjne wynoszą blisko 34 mln m sześc. na dobę, czyli ponad 12 mld m sześc. rocznie.

Że z podziemnych zasobów można korzystać na dużą skalę, pokazuje przykład Lubina. Po odkryciu w 1957 r. złóż miedzi i rozpoczęciu rozwoju przemysłu górniczego geolodzy rozpoznali tam polodowcowe struktury wodonośne. Polski przemysł potrafił więc znaleźć pod ziemią wodę, zbudować ujęcia i wykorzystywać je przez dziesięciolecia. Dlaczego nie potrafimy stworzyć równie sprawnego systemu gospodarowania zasobami w regionach zagrożonych suszą?

Islandia po polsku

Nadzieje wzbudza geotermia. Co pewien czas można przeczytać, że Polska ma jedne z największych zasobów wód geotermalnych w Europie, a skoro Islandczycy potrafią dzięki gorącej wodzie ogrzewać domy i produkować prąd, to my również powinniśmy. Tyle że w Polsce wody geotermalne o temperaturze 40–90 st. C występują często na głębokości 2–5 km. Warunki sprzyjające ich wykorzystaniu obejmują około jednej trzeciej powierzchni kraju. Mamy już instalacje geotermalne na Podhalu, w Stargardzie, Pyrzycach, Uniejowie, Poddębicach, Mszczonowie i Toruniu, a także nowe przedsięwzięcia w Sieradzu, Kole i Koninie.

Łączna moc polskich instalacji geotermalnych wynosi około 100 MW, podczas gdy moc krajowego systemu ciepłowniczego przekracza 50 tys. Ale w ocenie fachowców geotermia mogłaby pokrywać około 5 proc. potrzeb ciepłownictwa systemowego. Nie zostaniemy więc drugą Islandią, ale tam, gdzie warunki geologiczne i ekonomiczne są odpowiednie, gorąca woda może być wartościowym źródłem ciepła.

Kanadyjsko-norweski koncern Central European Petroleum ogłosił projekt Wolin East, związany ze złożami węglowodorów w pobliżu wysp Wolin i Uznam. Szacunki mówią o 22 mln ton ropy naftowej i 5 mld m sześc. gazu ziemnego. Liczby są znaczące, ale nawet gdyby Wolin East zostało zagospodarowane, udział krajowego wydobycia ropy nadal nie przekroczyłby 10 proc. potrzeb.

Zresztą surowców mamy znacznie więcej. W okolicach Zawiercia występują złoża cynku, ołowiu i srebra, ale ich zagospodarowanie napotyka sprzeciw mieszkańców. W rejonie Suwałk znajdują się skały zawierające żelazo, tytan, wanad i kobalt. Na Dolnym Śląsku mamy baryt i fluoryt, w okolicach Tarnobrzega siarkę, a w rejonie Płocka sole potasowo-magnezowe, które mogłyby służyć do produkcji nawozów. Na Lubelszczyźnie występują fosforyty, a w Nowej Rudzie i okręgu rybnickim istnieje potencjał związany z węglem koksującym potrzebnym hutnictwu.

Gospodarka do kopania

Państwo, które wydobywa surowce i eksportuje je bez dalszego przetworzenia, zarabia przede wszystkim na pracy górników i wartości kopaliny. Ten, kto potrafi z tych surowców produkować zaawansowane wyroby, zarabia również na pracy inżynierów, technologów, konstruktorów i całego przemysłu współpracującego. Polska posiada do tego potrzebne zaplecze. Mamy hutnictwo miedzi, przemysł kablowy, producentów urządzeń elektrycznych, przedsiębiorstwa chemiczne i firmy wytwarzające maszyny górnicze. Problemem jest brak powiązania polityki surowcowej z rozwojem przemysłu.

Jedną z przyczyn jest sposób funkcjonowania państwa, które od lat nie może zdecydować, czy chce być organizatorem rozwoju gospodarczego, czy jedynie administratorem rynku. Jedno ministerstwo zajmuje się energetyką, drugie klimatem, trzecie rozwojem, czwarte finansami, a kolejne nadzoruje państwowe przedsiębiorstwa. Każde ma własne cele i priorytety. Do tego dochodzi polityczny strach przed podejmowaniem decyzji.

W Polsce jest wiedza geologiczna, są wykształceni specjaliści i przedsiębiorstwa zdolne do prowadzenia działalności wydobywczej na całym świecie. A jednak kolejne informacje o naszych bogactwach przedstawiane są tak, jakby dopiero zagraniczny inwestor nadał im wartość.

Największą słabością polskiej polityki gospodarczej jest więc brak konsekwencji. Zachowaliśmy wiedzę geologiczną, ale nie stworzyliśmy dostatecznie sprawnego mechanizmu jej gospodarczego wykorzystania. Mamy przedsiębiorstwa zdolne do inwestowania na innych kontynentach, lecz podobne przedsięwzięcia w Polsce pozostają na etapie planów.

I dlatego największym polskim bogactwem naturalnym pozostaje dziś cierpliwość Polaków czekających od pół wieku, aż ktoś zrobi użytek z wolframu pod Myszkowem i od lat słuchających o geotermalnym eldorado, gigantycznych zasobach wody i nowych kopalniach miedzi. Kiedyś obiecywano im gaz łupkowy, który miał zapewnić energetyczną niezależność. Teraz słyszą o kolejnych strategicznych surowcach, które mają zapewnić bezpieczeństwo gospodarcze Europie. A pod ziemią wszystko zostaje po staremu.

ADRIAN SIECZKOWSKI

Życie W DOBROBYCIE

Donald Tusk ogłosił jakiś czas temu, że nasze interesy mają biało-czerwone barwy. Wygląda na to, że hasło premiera wzięli sobie do serca Amerykanie, którzy postanowili repolonizować naszą gospodarkę kosztem Niemców. Bo oto należący do amerykańskiego koncernu Inteva Products zakład w Opolu przejmie całą produkcję z niemieckiej fabryki w Plattling. Po prostu prywatny właściciel uznał, że bardziej opłaca mu się produkować w Polsce niż w Niemczech. A ponieważ kapitał ma narodowość, to w tym przypadku jest ona amerykańska, produkcja będzie polska, zaś niemiecka gospodarka zostanie z niej ogołocona. Trudno o bardziej interesującą realizację hasła repolonizacji. Zakład należał wcześniej do międzynarodowej grupy IAC Group, a w grudniu 2025 r. przejął go amerykański Inteva Products. Produkcję komponentów przeznaczonych dla Volvo przeniesiono do Szwecji i zaczęły się pojawiać pogłoski o zamknięciu zakładu. Tyle że zamiast wywozić maszyny z Opola i rozdawać pracownikom wypowiedzenia, Amerykanie zaczęli sprowadzać nowe urządzenia, montować linie produkcyjne i przygotowywać fabrykę do przejęcia roboty wykonywanej dotychczas przez Niemców. Dziś zakład zatrudnia 550 osób, a po przeniesieniu produkcji z Plattling liczba pracowników ma wzrosnąć do prawie 600. 50 etatów nie jest oczywiście liczbą, która odmieni statystyki bezrobocia w kraju. Ale dla kilkudziesięciu rodzin z Opola i okolic może oznaczać różnicę między comiesięczną wypłatą a comiesięczną wizytą w urzędzie pracy. Inteva Products to koncern zatrudniający około 12 tys. osób w 37 zakładach rozsianych po świecie. Opolska fabryka wytwarza elementy wyposażenia wnętrz samochodów takich jak Mercedes CLE, Mercedes klasy E, Mercedes GLC, Audi E-tron oraz Škoda Enyaq i Elroq. I choć cała operacja nie sprawi, że Inteva Products stanie się polskim przedsiębiorstwem, to dla Opola będzie oznaczać więcej miejsc pracy i większe możliwości rozwoju. Czyli dokładnie to, co politycy zwykli obiecywać, gdy mówią o gospodarczym patriotyzmie. Repolonizacja jak widać postępuje. Nawet jeśli żadna z uczestniczących w niej firm nie ma biało-czerwonego kapitału.

Wygląda na to, że w polskim biznesie zaczęto wreszcie liczyć pieniądze, bo oto PZPN traci kolejnego sponsora. Tym razem jest nim francuska sieć sklepów budowlanych Leroy Merlin, która przez niemal 10 lat dokładała się do finansowania polskiego futbolu. Wielkie firmy sponsorują sport dla reklamy i przyciągania klientów. Tyle że reklama ma ekonomiczny sens wtedy, gdy wydane na nią pieniądze przynoszą więcej, niż kosztują. A czy ktoś kupił choćby jeden worek zaprawy murarskiej dlatego, że Leroy Merlin sponsorował polską reprezentację piłkarską? Tego nie wiadomo. Podobnie jak tego, czy choć jeden kibic, ujrzawszy logo francuskiej sieci podczas meczu, poczuł nieodpartą potrzebę wymiany sedesu albo remontu łazienki. Leroy Merlin nie jest pierwszą wielką firmą, która ostatnio pożegnała się z PZPN. Wcześniej ze sponsorowania polskiej piłki wycofał się InPost. Z grona partnerów zniknęły również TCL, Staropolanka i Biedronka. Ale piłkarze nadal będą grać, kibice kibicować, a sklepy sprzedawać swoje towary. Bo do kupienia wiertarki nie trzeba przecież wiedzieć, kto sponsoruje reprezentację, a do wysłania paczki nie jest potrzebna znajomość składu drużyny narodowej. Może więc rzeczywiście pora, żeby w polskim biznesie zamiast miłości do futbolu częściej używano kalkulatora.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Banki to takie instytucje, które pożyczają ludziom pieniądze, żeby na nich zarabiać. Przy czym pieniądze te w znakomitej większości nie należą do banków, ale do ludzi, którzy trzymają w nich oszczędności. Bank płaci więc oszczędzającym jakieś odsetki, a pożyczając tę samą kasę innym, żąda od nich odsetek znacznie wyższych. Różnica zostaje w bankowej kasie. Żeby jednak zarabiać jeszcze więcej, banki wymyśliły prowizje. A ponieważ Polacy bez banków żyć już praktycznie nie mogą, to banksterstwo ma się u nas jak pączek w maśle. Nawet pomimo tego, że państwo podniosło bankom podatek CIT, a sądy zmuszają je do rozliczania wadliwych umów frankowych. Pięć dużych banków działających w naszym kraju zarobiło w trzecim kwartale na czysto ponad 4,6 mld zł. Wyniki te zaskoczyły specjalistów od przewidywania bankowych dochodów. Najwięcej zgarnął Pekao, który wypracował 1,5 mld zł czystego zysku, o 3 proc. więcej od prognoz. ING Bank Śląski zarobił 1,13 mld zł – 6,4 proc. więcej od oczekiwań. mBank wypracował 1,08 mld zł, zwiększając zysk aż o 29,6 proc., choć analitycy spodziewali się wyniku o 1,1 proc. wyższego. W 2026 r. stawka podatku CIT dla banków wynosi 30 proc., w 2027 r. ma spaść do 26 proc., a od 2028 r. – do 23 proc. Dla innych przedsiębiorstw jest to 19 proc. Oczywiście bankowcom się to nie podoba, tyle że skoro mimo podwyższonego CIT pięć banków zarobiło w trzy miesiące na czysto ponad 4,6 mld zł, to trudno uznać, że fiskus doprowadził je do nędzy. Niestety, gdy bank zarobi miliard, nie znaczy to, że milion jego klientów wzbogaciło się po tysiąc złotych. A wręcz przeciwnie.

Wygląda na to, że Polska znalazła swój sposób na osiągnięcie dobrobytu. Nie trzeba budować fabryk, produkować samochodów ani harować od świtu do nocy. Wystarczy mieć pieniądze. A tych, jak wynika z danych NBP, przybywa nam w tempie niewidzianym od czasów covidu. Tylko przez ostatnie 12 miesięcy ilość złotówek w gospodarce zwiększyła się o 330 mld zł. Gdyby więc komuś przyszło do głowy, że pieniądze trzeba zarabiać, to jest w błędzie. W Polsce najwyraźniej mnożą się same. I to szybciej niż gospodarka, która ponoć ma je wytwarzać. Żeby zrozumieć, na czym polega to rozmnażanie, trzeba poznać coś, co fachowcy nazywają podażą pieniądza M3. Pod tą nazwą kryją się banknoty i monety, pieniądze na rachunkach bankowych, lokaty o terminie do dwóch lat oraz niektóre krótkoterminowe papiery dłużne. NBP policzył więc, że we wrześniu 2026 r. mieliśmy tego prawie 3 bln zł. Przez rok pieniędzy przybyło 11,3 proc., podczas gdy wartość wszystkiego, co wyprodukowano i jakie usługi wykonano, wzrosła w drugim kwartale o 6,1 proc. Gdy odliczyć drożyznę, gospodarka urosła zaledwie o 4,1 proc. Czyli pieniędzy przybywa niemal trzy razy szybciej, niż rzeczywiście rośnie gospodarka. Ostatni raz pieniądze mnożyły się w podobnym tempie w marcu 2021 r., gdy z powodu pandemii rząd pozamykał znaczną część gospodarki, a NBP zaczął skupować obligacje skarbowe. Fabryki produkowały mniej, restauracje nie mogły przyjmować gości, hotele świeciły pustkami, a kasa płynęła. Gdzie podziewają się te cudownie rozmnażające się złotówki? Ano przede wszystkim w bankach. NBP wyliczył, że tylko na rachunkach bieżących gospodarstw domowych przybyło przez rok 141 mld zł. Ale dług sektora instytucji centralnych zwiększył się przez rok o 14,5 proc. i osiągnął 627 mld zł. Ale jeśli dodatkowe złotówki zaczną krążyć szybciej, a produkcja nie nadąży za zakupami, to ceny mogą znów ruszyć w górę. Zwłaszcza że ostatnim razem, gdy działo się coś podobnego, skończyło się nader boleśnie dla zawartości naszych portfeli.

TTJ

eprasa.pl 6bb0996a4b

Zucman wystawia rachunek

Dlaczego miliarderzy nigdy nic nie zarabiają

Francuski ekonomista Gabriel Zucman wykazuje, że miliarderzy płacą – proporcjonalnie – dużo mniej podatków niż zwykli ludzie. Proponuje, aby tych, co mają 100 mln euro i więcej, opodatkować na poziomie 2 proc. majątku rocznie.

Biedni bogacze

Zucman jest profesorem ekonomii, kieruje Europejskim Obserwatorium Podatkowym. To zespół badaczy, który analizuje, jak bogaci ludzie i wielkie firmy unikają podatków. Zucman badał między innymi pieniądze trzymane w rajach podatkowych oraz zyski przenoszone przez firmy do krajów, w których podatki są niższe. W eseju „Opodatkować miliarderów. Jak rozwiązać problem nierówności?", wydanym przez Obroty, opisuje, jak majątek może rosnąć, choć jego właściciel oficjalnie wykazuje niewielki dochód.

Jednym z przykładów jest Elon Musk. Zakup Twittera za 44 mld dol. sfinansował między innymi, sprzedając akcje Tesli i biorąc kredyty. Przeciwnicy podatku od fortun przekonują, że miliarderzy nie mają gotówki, bo większość ich majątku stanowią akcje. Zucman odpowiada: skoro akcje można sprzedać, by zdobyć pieniądze na zakup platformy, można je sprzedać także po to, by zapłacić podatek.

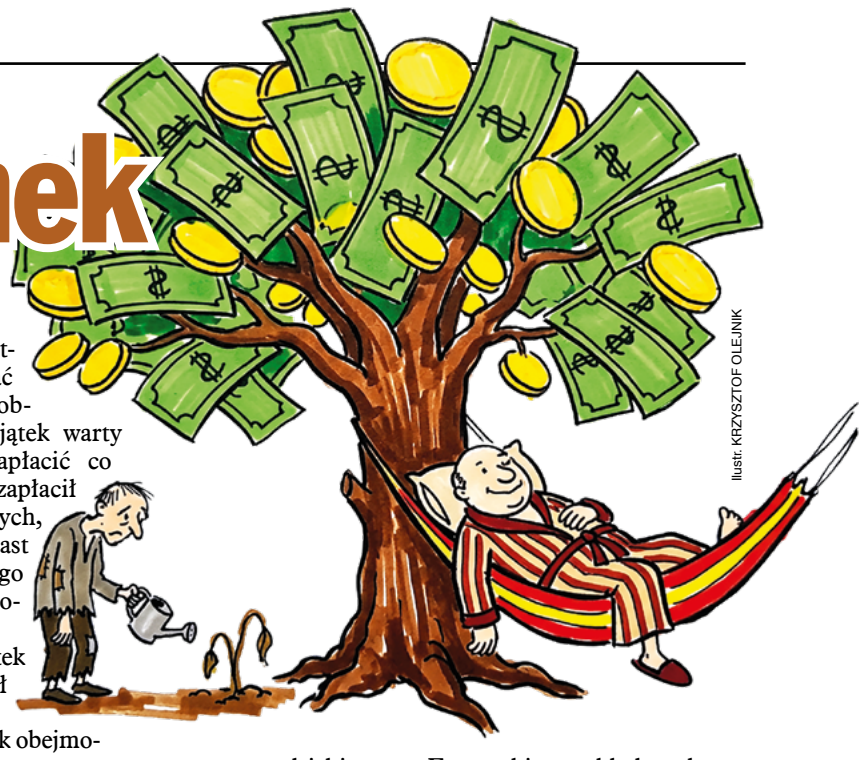
Najbogatsi mogą trzymać pieniądze nie na prywatnym koncie, lecz w swojej firmie. Często mają też holdingi – spółki, które posiadają udziały w innych firmach. Firma, która zarobiła pieniądze, płaci od zysku podatek. Potem może przekazać część zysku holdingowi. We Francji taka wypłata może być niemal całkowicie zwolniona z podatku. Holding może wykorzystać te pieniądze, by kupić udziały w kolejnej firmie. Właściciel decyduje, co z nimi zrobić, ale dopóki zostają w spółce, nie są jego osobistym dochodem. Nie płaci więc od nich podatku – i to go różni od pracownika, który dostaje pensję i dopiero z tego, co zostanie po podatku, może coś odłożyć.

Zysk pozostawiony w firmie może zwiększyć wartość jej udziałów i majątek właściciela. Żeby sprawdzić, ile naprawdę zarabiają najbogatsi, badacze liczą więc także część zysków, których firma nie wypłaciła. W uproszczeniu: jeśli ktoś ma połowę firmy, badacze przypisują mu połowę jej zysku, nawet jeśli nie dostał tych pieniędzy na konto.

Takie liczenie pozwala porównać, jaką część dochodów oddają państwu różne grupy. Miliarder może oddać państwu parę milionów euro – z pozoru zawrotną kwotę – a jednak zapłacić mniej procent podatku niż sprzątaczka.

2 proc. majątku

Według zestawienia magazynu „Challenges" w 1996 r. majątek 500 najbogatszych francuskich rodzin był równy 6 proc. tego, co Francja wytwarza w ciągu roku. W 2024 r. było to już 42 proc. Zucman podaje też, że w tym czasie ich majątek rósł średnio o około 10 proc. rocznie; majątek przeciętnego Francuza o 4,5 proc. To wartości przed odliczeniem inflacji. Autor zastrzega, że różnicy nie da się wyjaśnić samymi podatkami, ale uważa, że podatkowe przywileje najbogatszych mają w niej istotny udział.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Proponowany podatek – 2 proc. majątku – to minimalna kwota, którą najbogatsi mieliby co roku oddawać państwu, a nie dodatkowe obciążenie. Jeśli ktoś ma majątek warty miliard euro, powinien zapłacić co najmniej 20 mln euro. Gdy zapłacił już 8 mln podatków osobistych, dopłacałby 12 mln. Natomiast podatek zapłacony przez jego firmę nie zmniejszałby tej dopłaty.

Dawny francuski podatek od fortun nie obejmował części udziałów w firmach. Zucman chce, by jego podatek obejmował je wszystkie.

Wcześniejsza wersja projektu miała utrudniać turystykę podatkową. Ktoś, kto przez dekadę mieszkał we Francji i płacił podatki, podlegałby obowiązkowi podatkowemu przez kolejne pięć lat, mimo wyjazdu. Francuska Izba Deputowanych przyjęła taki zapis, ale senat odrzucił. Teraz Zucman rozważa wydłużenie tego czasu do dziesięciu lat.

Podatek można byłoby zapłacić także akcjami zamiast pieniędzmi. Państwo mogłoby je zatrzymać w publicznym funduszu albo sprzedać, dając pierwszeństwo pracownikom firmy. Wtedy pracownicy i państwo mieliby większy udział w przedsiębiorstwie i w jego zyskach.

U nas marne szanse

Esej pomaga uważniej czytać statystyki podatkowe, także te przywoływane w Polsce. Opiera się jednak głównie na przykładach francuskich. W polskiej przedmowie Zucman zaznacza, że u nas brakuje podobnych badań o właścicielach firm oraz podatkach płaconych przez ich przedsiębiorstwa. Francuskie przykłady pokazują, jak działa ten mechanizm, ale oczywiście nie da się go wprost przełożyć na warunki polskie.

Zucman wierzy, że jego pomysł kiedyś stanie się prawem. Przypomina, że francuską propozycję podatku dochodowego poparła niższa izba parlamentu już w 1909 r., ale senat ją zablokował. Zgodził się dopiero w 1914 r. Ekonomista liczy, że z podatkiem od fortun będzie podobnie.

Popieram propozycję Zucmana, ale obawiam się, że to łabędzi śpiew redystrybucji: kapitał przejmuje już nie tylko media i platformy kształtujące poglądy wyborców, lecz także kolejne narzędzia pracy. Coraz częściej pracujemy na cudzej infrastrukturze, płacimy za dostęp do niej i godzimy się na warunki jej właścicieli. Tak wygląda technofeudalizm, w którym pracujący stają się cyfrowymi niewolnikami. Pomysł Zucmana zakłada, że demokracja wciąż może ograniczyć władzę najbogatszych. Tymczasem sama słabnie, a kapitał rośnie w siłę.

DAMIAN DUSZCZENKO

Rodzice coraz bardziej nie chcą być nauczycielami

Bezpłatna bezradność

Prywatyzacja polskiej szkoły zaczyna się przy biurku dziecka, kiedy rodzic wieczór w wieczór wyjaśnia młodemu człowiekowi to, co powinno zostać wytłumaczone na lekcji, próbuje zrozumieć polecenie w zeszycie ćwiczeń i sprawdza, czy w domowym budżecie zmieści się jeszcze korepetytorka z matematyki w środę. Potem dochodzi angielski, przygotowanie do egzaminu. W końcu pojawia się pytanie, którego publiczna oświata powinna obawiać się bardziej niż kolejnej ministerialnej reformy: skoro już płacimy za to, żeby dziecko się nauczyło, dlaczego nie zapłacić szkole, która sama podejmie się wykonania tej pracy?

Edukacja zawsze płatna

To dlatego udział uczniów niepublicznych podstawówek wzrósł z 2,08 proc. w roku 2009/2010 do 5,85 proc. w 2024/2025, a szkół ponadpodstawowych – z 4 do 10,55 proc. w ciągu dekady. Niepubliczne placówki stanowią 29,23 proc. liceów. Granicę wyznaczają pieniądze i geografia – w warszawskim Wilanowie jest 41 proc. młodzieży w szkołach niepublicznych, a na Pradze Północ – 6,8 proc. Tam, gdzie mieszkają rodziny mogące zapłacić i gdzie istnieje odpowiednia oferta, wyjście ze szkoły publicznej staje się realnym wyborem. Gdzie indziej pozostaje rozważaniem, bo nawet pieniądze nie wyczarują szkoły w rozsądnej odległości od domu.

Nie każda rodzinna pomoc jest oczywiście dowodem szkolnej porażki, tak jak nie każde korepetycje zastępują zajęcia w szkole, ale CBOS ustalił, że w roku szkolnym 2025/2026 korepetycje lub kursy przygotowawcze finansowało bądź zamierzało finansować 34 proc. rodzin z dziećmi w wieku szkolnym, wobec 14 proc. dekadę wcześniej. Wzrost wobec poprzedniego roku wyniósł 5 proc.

Najnowsze badanie CBOS pokazuje, że w tym roku szkolnym płatne zajęcia dodatkowe finansuje lub zamierza finansować 70 proc. rodziców, a deklarowana średnia miesięczna kwota na takie zajęcia dla dzieci w rodzinie wynosi 763 zł. Są to kategorie wydatków, których nie wolno wrzucać do worka z napisem „korepetycje", bo to najróżniejsze płatne zajęcia od tych artystycznych po sportowe.

Największą słabością polskiej szkoły nie jest brak kolejnej tablicy interaktywnej, tylko mylenie wykonania czynności z osiągnięciem rezultatu. Nauczyciel może bardzo sumiennie przeprowadzić lekcję, po której uczniowie niewiele rozumieją. Może szczegółowo sprawdzić klasówkę, nie wykorzystując jej do ustalenia, dlaczego połowa klasy popełnia ten sam błąd. Może wpisać komplet ocen, nie zastanawiając się, dlaczego są one, jakie są. W takim modelu dziecko jest stale mierzone, a za rzadko uczone. Kolejna jedynka potwierdza, że nie umie, lecz nie przybliża odpowiedzi, co szkoła zamierza zrobić, żeby zaczęło umieć. Jeżeli rozwiązaniem pozostaje dom, rodzic albo korepetytor, to edukacja została częściowo wyprowadzona poza instytucję, która otrzymuje pieniądze właśnie na nauczanie.

Bardziej niż za zboże

Odpowiedzialności nauczyciela nie da się przy tym bez końca rozpuszczać w podstawie programowej, ministerstwie, rodzicach, telefonach i ogólnym upadku obyczajów. Program nie wybiera tonu, którym belfer odzywa się do ucznia. Nie nakazuje zawstydzać pytającego, nie zakazuje objaśnić zagadnienia drugi raz, nie zmusza do uznawania każdego błędu za dowód lenistwa.

I tu wchodzi szkoła prywatna. Nie musi obiecywać cudu, wystarczy, że zaoferuje rozsądnie brzmiący porządek dnia, mniejszą grupę, dostęp do nauczyciela, języki, opiekę i przekonanie, że w razie trudności będzie z kim rozmawiać. Rodzic kupuje wtedy nadzieję na odzyskanie wieczorów i ograniczenie wożenia dziecka po mieście.

Ile kosztuje ta możliwość w tym roku szkolnym? W jednej warszawskiej podstawówce czesne wynosi 26 220 zł rocznie, a wpisowe 2622 zł. W innej miesięczna opłata 2450 zł jest pobierana przez 12 miesięcy, zatem sam rok kosztuje 29 400 zł, do czego dochodzi 2500 zł wpisowego. W kolejnej podstawówce klasy I–VIII kosztują 2690 zł miesięcznie przez 10 miesięcy, czyli 26 900 zł rocznie, lecz wpisowe wynosi aż 5380 zł.

W krakowskiej szkole klasy I–IV kosztują 29 400 zł rocznie w 10 ratach po 2940 zł, a jednorazowe wpisowe wynosi 2700 zł. W czesnym są między innymi edukacja dwujęzyczna, opieka psychologa i świetlica poranna, natomiast popołudniowa jest dodatkowo płatna.

Rynek nie kończy się jednak na warszawskich i krakowskich opłatach zbliżonych do 30 tys. zł. Salezjańskie liceum w Pile podaje dla klas I–III 9840 zł rocznie rozłożone na 12 rat po 820 zł. Technikum Automatyki i Robotyki w Łodzi wskazuje 610 zł miesięcznie. Poznańskie liceum w klasie pierwszej programu ogólnokształcącego pobiera przez pierwsze sześć miesięcy po 1200 zł, a przez następne sześć – po 1250 zł, czyli 14 700 zł rocznie. W wariancie dwujęzycznym roczny rachunek wynosi 17 100 zł.

Dalej zaczyna się segment międzynarodowy. British International School Gdańsk podaje dla klas I–III w swojej tabeli 3400 zł miesięcznie przez 10 miesięcy, czyli 34 tys. zł rocznie, dla klas IV–VI – 36 tys. zł, a dla klas jeszcze starszych – 45 tys. zł. W British International School of the University of Łódź nauka na etapie I–II kosztuje 44 tys. zł rocznie, na etapie III–VI – 48 tys. zł, a wyżej – po 66 tys. zł.

Warsaw Montessori High School pobiera za coś, co nazywa „Pre-IB", 70 tys. zł przy 10 ratach, a w „IB DP" 80 tys. zł. Przy jednej płatności kwoty spadają odpowiednio do 63 i 72 tys. zł. Dochodzi 750 zł opłaty rekrutacyjnej i 3000 zł wpisowego z przewidzianymi zwolnieniami dla uczniów kontynuujących naukę na kolejnym etapie. W Thames British School Warsaw stawki rosną od 72 100 zł za etap I–II do 99 950 zł za etap XII–XIII.

Prywatnym po łapach?

Nie należy z tego wyciągać wniosku, że zamiana korepetycji na szkołę prywatną zawsze się finansowo opłaca. Czesne rzędu 25–30 tys. zł rocznie może wielokrotnie przekraczać koszt samych dodatkowych lekcji. Rodzice mogą jednak porównywać szerszy rachunek: języki, świetlicę, opiekę, zajęcia, transport i własny czas. To ekonomicznie zrozumiały mechanizm decyzji, choć przytoczone badania nie dowodzą, że jest główną przyczyną wszystkich przenosin. Największym błędem obrońców publicznej oświaty byłoby zlekceważenie tego rachunku tylko dlatego, że nie mieści się w urzędowej rubryce.

W tej sytuacji pojawiający się pomysł ograniczania dotacji dla szkół niepublicznych wymaga znacznie poważniejszej odpowiedzi niż okrzyk, że publiczne pieniądze powinny zostać w publicznej szkole. Rzecz bowiem w tym, że szkoły publiczne i niepubliczne dostają dziś za każdego ucznia te same pieniądze. Dotacje samorządowe dla placówek niepublicznych wzrosły z około 7,4 mld zł w 2018 r. do 20,6 mld zł w 2024 r. Tymczasem przeciwnicy prywatnych szkół proponują między innymi wsparcie na poziomie 75 proc. dla niepublicznych szkół społecznych i 50 proc. dla komercyjnych.

A jeżeli prywatna szkoła straci część dochodów, musi poszukać oszczędności, dodatkowych przychodów albo zmniejszyć zakres działania. Podwyższenie czesnego jest jednym z rozwiązań. Podnieść można także próg wejścia. Jeżeli w wyniku takiej operacji część rodzin zrezygnuje, szkoła niepubliczna stanie się jeszcze bardziej dostępna głównie dla bardzo zamożnych. Polityka prowadzona pod hasłem zwalczania segregacji może wtedy zwiększyć segregację.

Najbogatszy rodzic ma możliwość udźwignięcia podwyżki. Rodzina, która już dziś naciąga budżet i wybiera tańszą szkołę społeczną albo lokalne liceum, takiej swobody nie ma.

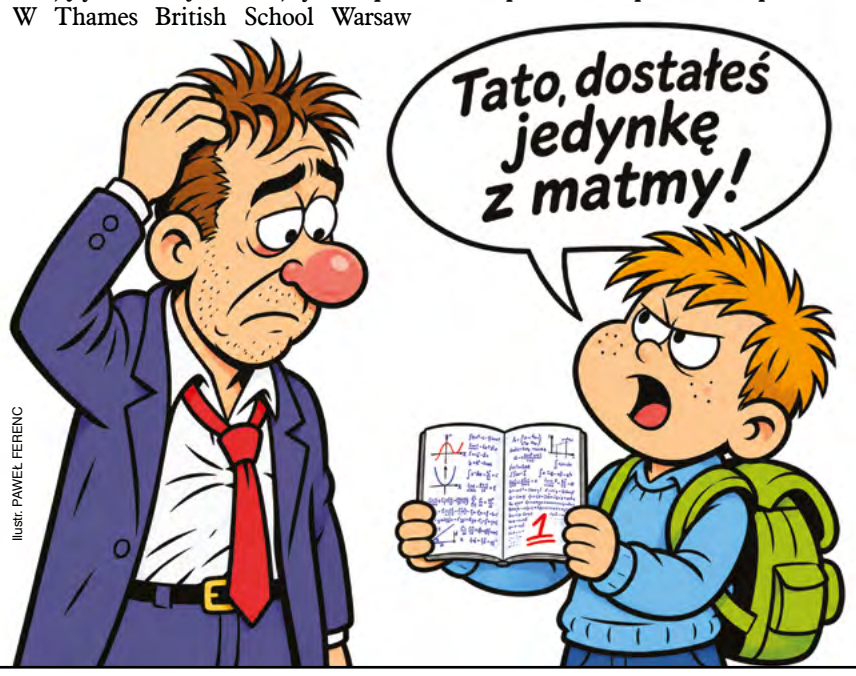
Ambicja dziecka nie jest przecież pochodną dochodu rodziców, a gotowość do płacenia nie oznacza nieograniczonej zdolności płatniczej.

I dlatego nie należy traktować wszystkich niepublicznych szkół jak jednego luksusowego salonu. Zmiana dotacji, która dla jednej rodziny będzie niedogodnością, dla innej może oznaczać koniec możliwości wyboru.

Publiczne wsparcie nie powinno być oczywiście czekiem bez zobowiązań. Państwo ma prawo kontrolować jakość nauczania i zasady wydawania pieniędzy. Kontrola jest jednak czymś innym niż finansowa kara za to, że rodzina wybrała placówkę spoza publicznej sieci. Dziecko nie przestaje być uczniem, za którego edukację odpowiada państwo, kiedy przekracza próg szkoły społecznej. Nie staje się też mniej warte wsparcia dlatego, że jego rodzice do państwowych pieniędzy dokładają własne.

Publicznej placówce, która zaniedbuje edukację, nie pomoże moralizowanie o rodzicielskim egoizmie. Rodzice nie mają obowiązku poświęcać szkolnych lat własnego dziecka, żeby ministerstwo mogło dłużej naprawiać system. Jeżeli państwo chce ich zatrzymać, powinno zacząć od dopilnowania, żeby szkoła rzeczywiście uczyła. Bo kiedy ojciec czy matka po całym dniu pracy zostaje domowym nauczycielem, bardzo łatwo dochodzi do wniosku, że następnego dnia wolałby już zostać tylko rodzicem.

TOMASZ BOROWIECKI



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 6bb0996a4b

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ 14 listopada na Jasnej Górze, w Kaplicy Cudownego Obrazu odbyła się uroczystość zawierzenia Niepokalanemu Sercu Maryi Królowej Polski Klubów „Gazety Polskiej”. Podczas uroczystości ogłoszono też obranie za patrona klubów Świętego Michała Archanioła. Treść Aktu Zawierzenia odczytała przed obliczem Madonny Jasnogórskiej Ewa Wójcik, prezes Klubów „Gazety Polskiej”. „Zawierzamy wszystkie ich czyny, myśli, plany, pragnienia, zamiary, zmysły, wolę, pamięć, dobra duchowe i doczesne, wieczność, duszę i ciało, moment poczęcia, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, wszystkie konsekwencje grzechu, zniewolenia demoniczne, dzieci nienarodzone, uzdrowienie zranień, jakie na ich skutek powstały” – głosił fragment glejtu. Gdyby Matka Boska istniała, wysłalibyśmy jej numer infolinii dla osób doświadczających przemocy.

✚ Prokuratura Rejonowa w Radzyniu Podlaskim (woj. lubelskie) oskarżyła emerytowanego aktualnie klechę o przestępstwo o charakterze seksualnym. Sprawa trafiła do śledczych po kilkunastu latach. Z ustaleń organów ścigania wynika, że w latach 2007–2009 Sławomir M., ówczesny proboszcz parafii św. Jana Apostoła i Ewangelisty w Polskowoli (gm. Kąkolewnica), co najmniej kilka razy wsuwając dłonie pod odzież małoletniej, dotykał jej pośladków, nóg oraz piersi. Duchowny został poddany badaniom przez biegłych psychologii, psychiatrii i seksuologii, którzy nie stwierdzili u niego choroby psychicznej, upośledzenia umysłowego ani zaburzeń preferencji seksualnych. W wydanej opinii wskazali, że jeśli podejrzany popełnił zarzucane mu czyny, istnieją podstawy do rozpoznania zachowań o charakterze zastępczym, w których małoletnia była traktowana jako substytut kobiety dorosłej. Sławomir M. nie przyznał się do zarzutu i odmówił składania wyjaśnień. Za dopuszczenie się innej czynności seksualnej wobec osoby małoletniej poniżej 15. roku życia grozi od 2 do 15 lat pierdla.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ Sąd Rejonowy w Tarnowie ogłosił wyrok w procesie biskupa diecezji tarnowskiej Andrzeja Jeża. Oskarżenie dotyczyło niepowiadomienia organów ścigania o przypadkach wykorzystywania seksualnego małoletnich przez podległych mu księży z diecezji tarnowskiej: Stanisława P. i Tomasza K. Ofiarami przestępstw dwóch klechów jest kilkadziesiąt osób. Sprawa ks. Stanisława P. została umorzona z powodu przedawnienia, a wobec księdza Tomasza K. toczy się osobne postępowanie. Biskup Andrzej Jeż nie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Sąd skazał go na dwa lata ograniczenia wolności poprzez potrącenie co miesiąc 25 proc. jego wynagrodzenia na rzecz Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, która pomaga nieletnim skrzywdzonym seksualnie. Dodatkowo hierarcha został obciążony kosztami procesu. Biskup zadeklarował przed sądem, że zarabia miesięcznie 4 tys. zł. Jeżeli wyrok się uprawomocni, potrącany mu będzie 1 tys. zł miesięcznie przez dwa lata. Sędzia kalosz.

✚ Jak donosi portal PCh24.pl, związany z Koalicją Obywatelską komisarz Częstochowy Łukasz Pabiś chce wprowadzenia „podatku od pielgrzymów”. Nowe przepisy pozwolą na pobieranie opłaty w maksymalnej wysokości 5,03 zł od osoby za każdą dobę pobytu. Komisarz szacuje, że przy opłacie w najwyższej wysokości miasto mogłoby zarobić nawet ok. 1,5 mln zł rocznie. Przeciwnicy opłaty, w tym środowiska prawicowe i związane z Kościołem, podkreślają, że nakładanie daniny na pielgrzymów może zaszkodzić wizerunkowi Częstochowy. Nie ma co narzekać. Pięć zeta za dzień kampanii wyborczej na Jasnej Górze to niewielki koszt uprawiania polityki na kolanach dla prawicowej wierchuszki.

KLECHA

Kibice niepodległości i świętego kości


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Organizatorzy Marszu Niepodległości lubią podkreślać, że każdy jest na nim mile widziany; że to żaden spęd faszystów czy nazioli, ale święto uśmiechniętych rodzin z dziećmi, kochających ojczyznę. Jak jest w praktyce, każdy widzi. Inicjatorom tego pochodu udało się stworzyć alternatywę dla obchodów państwowych, które giną w cieniu wielkiej prawicowej imprezy, na którą ciągną setki tysięcy ludzi. Sprawa została oddana walkowerem.

Kawałek jezuity

Gwiazdą tegorocznego Marszu Niepodległości nie był jednakowoż Nawrocki czy Bosak, ale św. Andrzej Bobola. To on szedł na czele niepodległościowej parady, a właściwie był niesiony w postaci swoich doczesnych szczątek. Relikwie – ten arcykatolicki gadżet, obrzydliwy wie-

Powoli, Boboli

lu innym odnogom chrześcijaństwa – wyznaczały charakter marszu. I to właściwie tyle w temacie inkluzywności tego wydarzenia, na które zaproszeni są podobno wszyscy.

Pomijając już ateistów: protestant czy muzułmanin (np. Tatar) może się czuć cokolwiek niekomfortowo, uczestnicząc w pielgrzymce, na czele której kroczy bluźnierstwo. Choć w konstytucji stoi jasno, że naród tworzą „wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł” – to bojownicy sprzed Trybunału Konstytucyjnego i członkowie Ruchu Obrony Granic na tych wywodzących uniwersalne wartości z innych źródeł niż truchło rzymskokatolickich superbohaterów patrzą podejrzliwie.

Św. Andrzej Bobola to dla części polskich polityków ważna persona. Na co dzień pozostałości po nim rezydują w pałacu prezydenckim, spacerują tylko 11 listopada. W tym roku to już kolejny raz – inauguracyjna przechadzka miała miejsce rok temu. Kostki św. Andrzeja trafiły do pałacu jeszcze za Dudy, ale dopiero Nawrocki dał im się przewietrzyć.

Kibol w sutannie

A właściwie to jego kapelan, ks. Jarosław Wąsowicz, salezjanin i kapelan kibiców, czy też kiboli. W wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego” deklarował przecież: „Jeśli moi koledzy, wspaniali ludzie wywodzący się z różnych środowisk i grup społecznych, są nazywani kibolami, to ja także jestem i będę kibolem”.

Wąsowicz wypożyczył narodowcom potężny artefakt z prezydenckich zbiorów. Rok 2027 został ustanowiony przez sejm rokiem św. Andrzeja Boboli, zatem przyszłoroczny Marsz Niepodległości wsparty fragmentami zwłok jezuity będzie miał jeszcze większą moc.

Ks. Wąsowicz towarzyszy na duchowych drogach nie tylko prezydentowi, ale i nacjonalistom. Kroczy z nimi do Pana Boga i w Marszu Niepodległości. „Od ubiegłego roku z Zarządem Stowarzyszenia Marsz Niepodległości spotykamy się też na Mszy św. w kaplicy Pałacu Prezydenckiego, by zawierzyć Bogu to dzieło. Prosimy, by błogosławił tym, którzy organizują to wydarzenie, oraz by Marsz przebiegał w pokoju. W tym roku ta Msza św. sprawowana była 15 października” – mówił mediom przed 11 listopada.

Jako się rzekło, Marsz Niepodległości oferuje szeroki wachlarz światopoglądowy. „W trakcie samego Marszu Niepodległości wśród licznych grup uczestników jest też Blok Różańcowy, w którym uczestnicy odmawiają wszystkie części różańca, modląc się za Ojczyznę. W bloku tym maszerują m.in. Rycerze św. Jana Pawła II, Żołnierze Chrystusa i Wojownicy Maryi. Niosą m.in. ikonę Matki Boskiej Ostrobramskiej, której koronacja – jak tłumaczy ks. Wąsowicz – była dziękczynieniem za odzyskanie przez Polskę niepodległości. Grupie tej towarzyszą też kapłani” – donosiła „Niedziela”. Każdy znajdzie coś dla siebie.

Fundatorka

Szczególną admiratorką Andrzeja Boboli jest – oprócz prezydenta z kapelanem – posłanka Maria Kurowska z PiS. To ona wraz z innym pisowcem, Kazimierzem Chomą, ufundowała relikwiarz, w którym umieszczono inny kawałek świętego, przeznaczony z kolei na użytek parlamentarzystów. Cząstka jezuity gości także w kaplicy sejmowej. Kurowska to ta, która własną piersią broniła Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. 16 września o godzinie 15.00 rozpoczęła protest głodowy, który zakończyła o 21.00. Równocześnie zakończyła całą obronę AWS, bo wyłączyli prąd. Ta nieco już zapomniana karta kombatancka, przykryta obroną TK, to niewątpliwy sukces świętego Boboli.

Kurowska wiele przypisuje świętemu. Ot, choćby w 2022 r. radziła zawdzięczać mu spokój na granicy polsko-białoruskiej. „Proszę zauważyć, od 2 grudnia, od czasu, gdyśmy sprowadzili relikwie św. Andrzeja Boboli do kaplicy sejmowej, zaczęło uspokajać się na granicy. Była już tak napięta sytuacja. Dlatego ja, starając się o te relikwie – bo to ja jestem winowajcą tych relikwii – chciałam, żeby to zrobić szybko, bo widziałam, co się dzieje na granicy, że jest takie napięcie” – kokieteryjnie chwaliła się dziennikarzom.

Patriotyzm Kurowskiej nie pozwala jej wszakże dzielić się Bobolą z obcymi, choćby z Ukraińcami. Andrzej ma wystarczający zapierdol w Polsce i ani się śni Kurowskiej wypożyczać go sąsiadom. Możemy im dawać broń, ale nie aż tak skuteczną. Podpuszczona przez Justynę Dobrosz-Oracz odparowała, że Ukraińcy mają swoich orędowników: „Ukraina to jest państwo, które ma swojego patrona, św. Michała Archanioła, do którego się modli, i myślę, że to głównie Ukraińcy muszą tutaj modlić się i też przez interwencję Boga utrzymać swoją wolność i niepodległość”...

To jak, idziecie w przyszłym roku na Marsz Niepodległości? Towarzystwo jest przednie.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Dyskusyjna depresja

Księża walczą o prawo do terapii

Niedawno pisaliśmy o książce Moniki Białkowskiej „Bóg sam nie wystarczy”, poświęconej depresji wśród księży. Publikacja wywołała żywą dyskusję wśród kleru, który – okazuje się – jest bardzo wrażliwy, zwłaszcza na swoim punkcie.

Szczególnie młodsi księża nie chcą ustępować swoim cywilnym rówieśnikom i jęczą, że są takimi samymi ludźmi z takimi samymi problemami jak inni. A może nawet większymi – potęgowanymi przez samotność, natłok obowiązków, wygórowane wymagania przełożonych i negatywną atmosferę wokół Kościoła. Bo ksiądz, nawet jak chce pokazać, że ma tak samo przejebane jak zwykli śmiertelnicy, to musi być w tym lepszy, tzn. mieć gorzej. Tak jak w zawodach na skromność musi mieć pierwsze miejsce.

Rozterek księżej młodzieży nie rozumieją starsi kapłani, chowani krótko i twardo, po męsku. Uważają, że ksiądz to ma być chłop, a nie pizda w sutannie. Twardy ma być, nie miętki. Tym młodym to się w dupach poprzewracało i wymyślają depresje. Miękkim kropidłem robieni.

Za starych dobrych czasów tego nie było i jakoś ludzie żyli. Dawniej jak ksiądz miał gorszy dzień, to się najebał na plebanii, wygrzmocił gosposię, potem opieprzył parafian z ambony lub w konfesjonale i było git. No i modlił się, a nie szedł do lekarza.

Przeciwko mazgajstwu młodego pokolenia wystąpił ks. Jerzy Szymik – nestor duchowieństwa archidiecezji katowickiej, a przy tym teolog i poeta. Wykazał się wyjątkowo nikłą jak na artystę empatią dla generacji płatków śniegu, która swój dobrostan stawia w centrum, co jest poważnym wykroczeniem przeciwko powołaniu. W „Gościu Niedzielnym” Szymik opublikował „List do młodego księdza”, w którym podzielił się swoim doświadczeniem i udzielił kilku przestróg młokosom. Szczególne poruszenie wywołały fragmenty, w których ksiądz profesor odmawia młodszym kolegom prawa do babrania się we własnym nieszczęściu. „Strzeż się cynizmu. To broń tchórzów. Nie zarażaj frustracją i goryczą ani owiec, ani towarzyszy broni. Cierpienie jest dla Ciebie, miłość dla owiec – cokolwiek na ten temat myśli współczesna kultura terapeutyczna. Taka jest prawda pasterza. Że tak się nie da żyć? Jezus tak żył” – naucza ksiądz profesor. Z tego, co pamiętam z katechezy, za długo nie pożył.

Potem Szymik wali wprost: nie dla księdza terapia! „Sprzeczności i komplikacji życia nie rozwiąże żadna terapia, żadna nauka, żaden *work-life balance*. Jedynie łaska. I współpraca z nią, w wolności. Więź z Chrystusem. Crux, Virgo, Hostia – filary kapłaństwa. Bez tego życie roztrzaska się na kawałki. A odłamki zranią wielu, niektórych śmiertelnie” – radzi starszy kolega. Konkurencja kozetki dla konfesjonału dotarła do kościelnego jądra. Dalej jeszcze chwali celibat i nie radzi go łamać, ale i z popędem walczyć inaczej niż po bożemu. „Nie wierz w żadne sublimacje, protezy” – ostrzega. Po Dąbrowie Górniczej wiadomo, że księża wierzą raczej w stymulanty i zabawki.

Wielu księży po liście 73-letniego wyjadacza oburzyło się, że emeryt życia współczesnego księdza nie zna i niech se dziadek te mądrości wsadzi. Odezwał się nawet metropolita warszawski abepe Adrian Galbas – w kontrze do Szymika, którego tekst, mimo szacunku dla postaci, wywołał w nim (Galbasie) „wielki sprzeciw”. Arcybiskup apeluje do księży, „którzy od dawna mają niekończący się Wielki Piątek, by się tego nie wstydzili i nie bali się prosić o pomoc także ludzi, fachowców, którzy nie są przecież konkurencją dla Boga, lecz Jego darem”. Dlaczego dopiero fachowcy, a nie „Wielki Piątek”, czyli depresja, są bożym darem, tego nie ekscelencja nie wyjaśnił. Po prostu jednemu Pan Bóg daje biskupstwo, drugiemu depresję. Kapłańska loteria losu.

MATT KOBOSKO



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 6bb0996a4b

Putin wraca na lód

Rozdzielenie sportu i polityki to wzniosłe hasło, ale raczej nierealne



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie w 2027 r. odbędą się w Niemczech w maju. W turnieju ma wystąpić 16 reprezentacji. Na razie – bo do gry chce wrócić Rosja.

30 października 2026 r. Trybunał Arbitrażowy ds. Sportu (CAS) w Lozannie nakazał Międzynarodowej Federacji Hokeja na Lodzie (IIHF) dopuścić rosyjskie drużyny do wskazanych międzynarodowych rozgrywek, w tym przyszłorocznych mistrzostw świata. Trybunał uznał, że federacja nie przedstawiła wystarczających dowodów, by uzasadnić dalsze wykluczenie Rosjan względami bezpieczeństwa.

Białoruś nie została objęta tym orzeczeniem, a 7 listopada IIHF potwierdziła, że białoruska reprezentacja nie wystąpi w mistrzostwach. Rosja dostała natomiast od sportowego trybunału coś w rodzaju przepustki powrotnej. Tyle że przepustka nie jest jeszcze biletem na turniej, a tym bardziej gwarancją, że ktoś poda jej rękę przed meczem.

Pięć lat na ławce kar

Rosja i Białoruś zostały wykluczone z rozgrywek organizowanych przez IIHF 28 lutego 2022 r., cztery dni po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Federacja uzasadniała decyzję – to uzasadnienie jest ważne dla tej historii – „koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa zawodnikom, działaczom i kibicom”.

Od tamtej pory minęło prawie pięć lat. Dla reprezentacji to sportowa wieczność. Kolejne roczniki młodych zawodników z Rosji i Białorusi dorastały bez możliwości gry na najważniejszych międzynarodowych turniejach.

Rosyjska federacja nie zamierzała jednak zaakceptować wykluczenia. Sprawa trafiła do CAS, który uznał, że IIHF nie wykazała, dlaczego względy bezpieczeństwa wymagają dalszego zakazu.

To ważne: trybunał nie orzekł, jak amerykański błazen w przebraniu dyplomaty Steve Witkoff, że Putin jest humanitarystą, wojna się skończyła i wszystko jest w porządku. Orzekł, że pretekst, pod którym federacja wykluczyła reprezentację Rosji z rozgrywek, nie broni się prawnie i dziś nie ma sensu.

Międzynarodowa federacja przyjęła wyrok z wyraźnym niezadowoleniem. IIHF zadeklarowała uszanowanie wyroku CAS, ale zaznaczyła, że musi „znaleźć sposób na jego wykonanie”. Bo rzeczywiście sprawa jest trudna.

17 drużyn, 16 miejsc

CAS nakazał dopuścić rosyjskie drużyny do wskazanych rozgrywek. Nie ogłosił, że Rosja ma od nowa przechodzić eliminacje. Nie przedstawił też gotowego rozwiązania.

Tymczasem IIHF już w czerwcu 2026 r. ogłosiła skład dwóch grup turnieju. W Mannheim mają grać Szwajcaria, Finlandia, Szwecja, Niemcy, Łotwa, Austria, Słowenia i Ukraina. W Düsseldorfie: Kanada, USA, Czechy, Słowacja, Dania, Norwegia, Kazachstan i Węgry. Łącznie 16 zespołów, zgodnie z tradycyjnym formatem mistrzostw.

Rosji w tym zestawieniu nie ma. Nie ma też wolnego miejsca, które można by po prostu podpisać „rezerwacja dla gości z Moskwy”.

Co zatem zrobić? Przy 17 zespołach trzeba zmienić terminarz, liczbę meczów, układ grup i prawdopodobnie całą konstrukcję turnieju. Przy 16 trzeba komuś odebrać miejsce. A trudno będzie wytłumaczyć reprezentacji, która wywalczyła awans w eliminacjach, że właśnie przegrała z drużyną, która awansowała w sądzie.

Można powiedzieć, że Rosja wraca do gry. Tyle że organizatorzy wciąż nie wiedzą, czy mają dla niej miejsce w szatni, w tabeli i w kalendarzu.

Finowie nie chcą grać

Reakcja innych federacji była szybka i zdecydowana. Finlandia zapowiedziała, że dopóki trwa wojna, jej reprezentacja nie będzie rozgrywać meczów przeciwko Rosji. Do Finów dołączyły Szwecja, Norwegia, Dania i Czechy. Łotwa podtrzymała stanowisko o odmowie gry przeciwko Rosji i Białorusi, a Austria sygnalizowała, że w obecnych okolicznościach również nie wystąpi. Trudno też wyobrazić sobie mecz między Rosją a Ukrainą.

To poważny problem dla turnieju i sensu rywalizacji.

Wyobraźmy sobie taką sytuację:

terminarz przewiduje mecz Finlandia–Rosja. Finowie odmawiają gry. Rosjanie stawiają się na lodowisku, sędziowie czekają, kibice kupili bilety. Co dalej? Przepisy sportowe mają prostą odpowiedź: zwycięstwo Rosji przez walkower. Politycznie i wizerunkowo taka decyzja byłaby katastrofą.

Trudno będzie przekonać opinię publiczną, że państwo protestujące przeciwko agresji powinno zostać ukarane za to, że nie chce rozegrać meczu z reprezentacją agresora.

Niemcy, gospodarze mistrzostw, także nie są zachwyceni. Niemiecka federacja wsparta przez krajowy rząd sygnalizowała, że może oddać prawa do organizacji imprezy.

Sponsorzy mają zasady

Powrót Rosji wywołał nerwowość wśród sponsorów. Škoda, główny sponsor męskich mistrzostw świata od ponad trzech dekad, zapowiedziała ponowną ocenę swojego zaangażowania, jeśli Rosja wystąpi w turnieju. Fiński producent opon Nokian zapowiedział zakończenie wsparcia. Szwedzka firma AJ Products chce, aby jej logo nie było eksponowane podczas imprezy. Niemiecki producent odzieży roboczej Strauss rozważa całkowite wycofanie sponsoringu.

Firmy nie chcą firmować swoim logo powrotu rosyjskiej reprezentacji w czasie trwającej wojny. A mogłyby zasłonić się neutralnością sportu, umową sponsorską i starym sprawdzonym hasłem, że „nie mieszamy polityki do biznesu”.

Ale jest też druga strona tej historii. Moralność i biznes nie zawsze są w tym przypadku przeciwnymi drużynami. Rosyjski rynek po latach sankcji, wycofywania się zachodnich firm, ograniczeń finansowych, niepewności prawnej i przypadków przejmowania lub wywłaszczania aktywów zagranicznych przedsiębiorstw nie jest już dla europejskich marek atrakcyjny jak pięć lat temu.

Dla wielu producentów i sprzedawców Rosja to dziś nie tyle wielki rynek zbytu, ile wielkie ryzyko.

Działacze sportowi mogą dyskutować o regulaminach, neutralnych flagach i interpretacjach wyroków. Sponsorzy mogą po prostu powiedzieć: nie płacimy za to. A kiedy znika finansowanie, nawet najbardziej ideowy działacz zaczyna szukać kalkulatora.

Sport bez Rosjan

Nie ma sensu udawać: sportowo brak Rosji jest dla hokeja ogromną stratą.

Można sprzeciwiać się politycznej normalizacji Rosji. Można uważać, że w czasie trwającej wojny jej reprezentacja nie powinna występować na międzynarodowych imprezach. Można też popierać decyzje sponsorów, którzy nie chcą firmować takiego powrotu. Ale jest jasne, że udział rosyjskiej drużyny ogromnie podniesie poziom mistrzostw.

Hokej na lodzie nie jest jak piłka nożna, nie gra się w niego na każdym kontynencie, w każdej szkole. Potrzebne są lodowiska, sprzęt i wieloletnia tradycja. Najważniejsze ośrodki tej dyscypliny to Kanada, Stany Zjednoczone, Rosja, Finlandia, Szwecja, Czechy i Słowacja, a także coraz mocniejsze Niemcy i Szwajcaria. Polska próbuje – ale tu akurat jest jak w piłce nożnej: bez większych efektów.

Rosja jest jednym z filarów światowego hokeja. Jej rywalizacja z Kanadą, ale też z USA, Szwecją czy Finlandią, przez dekady budowała dramaturgię tej dyscypliny. To nie tylko mecze dwóch drużyn. To różne szkoły hokeja, odmienne style gry, wielkie nazwiska i historia rywalizacji, która zaczęła się długo przed obecnym konfliktem.

Sportowa ocena zawodników i moralna ocena państwa to dwie różne sprawy. Problem polega na tym, że w 2027 r. obie spotkają się na jednej tafli.

I właśnie dlatego decyzja IIHF jest trudna. Powrót Rosji podniesie sportowy poziom mistrzostw, ale jednocześnie zniszczy atmosferę i doprowadzi prawdopodobnie do odwołanych spotkań.

Putin strzela gole. A kto odważy się ich nie wpuścić?

Hokejowy bojkot był dla Rosji dotkliwą karą za prowadzoną wojnę. Dla Władimira Putina hokej jest czymś więcej niż sportem. To element wizerunku silnego, wysportowanego przywódcy, który potrafi nie tylko rządzić, ale też wejść na lód, wziąć kij i pokazać młodszym, jak się zdobywa bramki.

Prezydent Rosji od lat uczestniczy w pokazowych meczach z udziałem byłych gwiazd NHL. Występuje z numerem 11 na koszulce i potrafi zdobywać imponującą liczbę goli. W 2019 r. strzelił dziewięć bramek, a jego drużyna wygrała 14:7.

Oczywiście można zadać drobne pytanie o poziom obrony i motywację przeciwników. Kto chciałby być bramkarzem, który zepsuje prezydentowi wieczór? Nie każdy ma ochotę zastanawiać się, czy po meczu można spokojnie wrócić do domu.

Hokej świetnie nadaje się zresztą do politycznej propagandy w Rosji. Jest szybki, twardy, męski, pełen kontaktu i efektownych starć. Na lodzie można pokazać przywódcę jako człowieka energicznego, sprawnego i odważnego. Nie trzeba wtedy odpowiadać na pytania o gospodarkę, represje czy wojnę. Wystarczy założyć kask i walić kijem.

Bez sankcji w NHL

Udział Rosji na mistrzostwach świata to udział wielkich gwiazd hokeja. Rosyjscy zawodnicy przez cały okres wykluczenia reprezentacji mogli występować w NHL, najlepszej lidze hokejowej świata. Mogli zdobywać bramki, walczyć o Puchar Stanleya i indywidualne nagrody.

Wśród największych gwiazd ligi są Nikita Kuczerow, Kiriłł Kaprizow, Artemi Panarin, Andriej Wasilewski czy Igor Szesztiorkin. Dla kibiców hokeja oznaczało to osobliwą sytuację: mogli oglądać swoich idoli w barwach Tampa Bay, Minnesoty czy Waszyngtonu, ale nie w narodowej koszulce podczas najważniejszego turnieju IIHF.

NHL ich nie wykluczyła, bo amerykańsko-kanadyjska liga nie jest częścią IIHF i nie musiała respektować decyzji federacji.

Czy zatem w Niemczech zobaczymy rosyjskie gwiazdy z NHL? Być może, ale nie należy zakładać, że Rosja przyjedzie w najmocniejszym możliwym składzie.

Mistrzostwa świata odbywają się w maju, czyli w czasie, gdy w NHL trwają play-offy o Puchar Stanleya. Kluby nie muszą więc oddawać wszystkich zawodników, których reprezentacje chciałyby powołać. Zgodnie z zasadami ligi zawodnik może dołączyć do kadry, jeśli jego klub nie zakwalifikował się do play-offów albo odpadł we wczesnej rundzie.

Jeśli jednak Rosja wystąpi, a jej zawodnicy będą dostępni, turniej może zyskać ogromnie sportowo. Możliwość zobaczenia Kuczerowa, Kaprizowa czy innych gwiazd w rywalizacji z Kanadą, USA, Szwecją i Finlandią byłaby dla kibiców dużą atrakcją. I właśnie dlatego dyskusja o powrocie Rosji nie jest wyłącznie polityczną awanturą. To także pytanie o to, jak ma wyglądać światowy hokej.

Moralność, sport i interes. Trzy tercje jednego meczu

Oddzielenie sportu od polityki jest znacznie łatwiejsze w przemówieniach niż w rzeczywistości. Szczególnie gdy chodzi o państwo, dla którego sport jest narzędziem propagandy, a hokej ma znaczenie narodowe.

Z jednej strony mamy wojnę na Ukrainie, sprzeciw części federacji, stanowisko sponsorów i pytania o bezpieczeństwo. Z drugiej — wybitnych zawodników, wielką tradycję i sportową rywalizację, której brak rzeczywiście zubaża mistrzostwa. Można jednocześnie uznawać rosyjski hokej za ważną część historii tej dyscypliny i uważać, że obecne okoliczności nie pozwalają na zwyczajny powrót do sportowej normalności.

CAS rozstrzygnął spór prawny. Nie rozstrzygnął, czy Rosja powinna być witana na mistrzostwach jak każda drużyna. Nie ustalił też, jak wcisnąć ją do turnieju, w którym rozdano już 16 miejsc.

Hokej to sport kontaktowy. Zawodnicy przywykli do ostrych starć, przepychanek i kar za nieprzepisowe zagrania. Tym razem jednak najwięcej fauli może wydarzyć się poza taflą.

Bo w tej historii krążek jest jeden, ale każdy chce nim zagrać po swojemu. I jak zwykle najwięcej do powiedzenia mają ci, którzy na łyżwach nie jeżdżą.

LEON ORŁOWSKI

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: AWŁ JDG
wolklaniewska@wp.pl

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa

E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów.
Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Walstead CE Poland, Starachowice
info@walstead-ce.com

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 18.11.2026 r.

„NIE” w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 6bb0996a4b

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– „Stolica Hondurasu”? – zapytał głośno prezes Kaczyński. – Na jedenaście liter. Czwarta u, szósta i, a ostatnia a.

– Nie pamiętam – również na głos odpowiedział prezes Kaczyński. – A jeszcze niedawno pamiętałem.

Z niechęcią odsunął krzyżówkę. Wałęsa mówił, że rozwiązywanie krzyżówek to doskonały sposób zapobiegania demencji. Mylił się, zresztą jak w wielu innych sprawach. Kaczyński rozwiązywał krzyżówki, a mimo to zapominał słów, a gdy je pamiętał, mówił wolniej i bardziej monotonnie.

– Starzeje się pan, panie prezesie – rzekł prezes i po chwili już nie był pewien, czy to była myśl, czy głośno wypowiedziane zdanie.

Wrócił do krzyżówki. „Wielka drapieżna jaszczurka”. Legwan! Nie pasowało. Pięć liter, a nie sześć. Czy legwany są wielkie? I czy drapieżne?

– Jedno jest pewne: jaszczurki występują w Hondurasie – gorzko zaśmiał się Kaczyński. – W związku z tym nasuwa się pytanie: co ten snusiarz kombinuje? Reseciarz w kółko golony.

Prezesa zaniepokoiła refleksja: Jak to w związku z tym? Co Nawrocki wspólnego ma z Hondurasem i legwanem? Nic. Ale z generałami ma… „Forma rządów, w której władzę nad państwem przejmują wysocy rangą wojskowi, zwykle w wyniku zamachu stanu”, 16 pionowo, na pięć liter, druga u.

– Tu cię mam, Karolu – ucieszył się Kaczyński. – Junta! Po moim trupie! Nie po to walczyłem z juntą Jaruzela, żeby mi byle snusiarz przewrót teraz szykował.

Prezes nie mógł sobie przypomnieć, czego kiedyś miał nie robić nigdy w życiu, a teraz mógłby jednak zrobić.

– Junta! – zawołał ponownie, a potem wpisał prawidłowe słowo w diagram krzyżówki.

Znieruchomiał. Jak gdyby odpoczywał po dobrze wykonanym zadaniu.

– A, Braun! – Kaczyński ożywił się po minucie. – Niedawno mówiłem, że koalicja z Braunem jest niedopuszczalna, a teraz jej nie wykluczam. Czyżbym był bezczelnym kłamcą?

Właśnie! 24 poziomo: „Łgarz, krętacz, oszust, szalbierz”, siedem liter, pierwsza be, ostatnia er.

– Blagier! – zawołał prezes. Z jego pamięcią nie było tak źle. Żeby jeszcze tylko tę stolicę Hondurasu…

– Tegucigalpa! W ząbek czesana Tegucigalpa!

Wpisał. Wszystko pasowało. I nie legwan, tylko waran. Przecież waran z Komodo!

– Ale żadnej junty nie będzie – postanowił z determinacją typową dla ludzi ciepiących na sklerozę.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA chce gadać o kulturze. **JOANNA SENYSZYN** jest tak zmęczona kampanią, że nawet chce posłuchać.





Wołk-Łaniewska: – No dobra, ale zacznijmy jednak od Zielonej Góry.

Senyszyn: – Nie jest łatwo. Ludzie są uroczy, ale kampania paskudna. Powiem ci szczerze: nigdy nie spotkałam się z tak nieczystą kampanią, i do tego jeszcze ze strony ludzi, którzy się obwołali „obozem demokratycznym”. Sztab Różańskiej opowiada, że to ja nie chcę debaty, choć naprawdę ona się jej boi, zakleja moje plakaty…

– Słyszałam też, że generałowa ogłosiła, że to próba sił między dobrem a złem…

– Oraz uczciwością a nienawiścią. Pani Różańska jeszcze nawet nie zdążyła zostać politykiem, ale już nabrała najgorszych politycznych zwyczajów. Nawet kandydat PiS-u ją poucza, że nie potrzeba nam kolejnej wojny w polityce. Jak traci się przewagę moralną wobec faceta, który reprezentuje PiS i Konfederację, to jest to moment, aby przemyśleć swoje życie…

– Uradował mnie też Wadim Tyszkiewicz, który poparł generałową-wdowę, ale w sposób dość – powiedziałabym – dwuznaczny.

– Tak, Tyszkiewicz zaczął swoje wystąpienie od tego, że „to nie jest kwestia tego, na kogo zagłosuję jako na osobę”…

– A z kolei senator Komornicki reklamował kandydatkę na senatora RP opowieścią, że gen. Różański „zawsze podkreślał, że w jego domu to żona jest generałem”. Czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej protekcjonalnego?

– Chwilowo nic mi nie przychodzi do głowy…

– To zmienię temat: obejrzałam „Naszą rewolucję”.

– Film o Kuroniu?

– Akurat o Kuroniu tam jest bardzo mało.

– A o czym jest?

– Tak naprawdę nie potrafię odpowiedzieć. O tym, że komuna była podła, a esbecy okrutni. I nawet nie o to chodzi, bo nie spodziewałam się jakiegoś obiektywnego portretu przełomu lat 70. i 80. w polskim filmie, i to w reżyserii faceta, którego nawet na świecie nie było. Ale ten film jest kompletnie o niczym. Ja jestem tak stara, że znałam Jacka Kuronia. Byłam wolontariuszką w jego kampanii na Żoliborzu w 1989 r., a potem z nim wielokrotnie rozmawiałam jako dziennikarka w sejmie w latach 90.

– Zaraz, zaraz, to ile miałaś lat, jak byłaś wolontariuszką?

– 17.

– A jak zostałaś korespondentką sejmową?

– 19. Na drugim roku studiów. Takie czasy były. W każdym razie Kuroń był facetem naprawdę magnetycznym. To, co mówił i jak mówił, było porywające, miał nieodpartą polityczną charyzmę i kupę osobistego wdzięku. A w filmie nic z tego nie ma.

– Ale Jakubik to przecież dobry aktor. Był znakomity w „Klerze”.

– Tak, i w „Drogówce”, i w „Weselu”, oba filmy zresztą uwielbiam. Ale Kuronia po prostu nie uniósł. Jego postać jest nijaka, bezbarwna, kompletnie nieprzekonująca, w żaden sposób nie tłumaczy, dlaczego wszyscy go tak słuchali. A słuchali. I w opozycji, i w KOR-ze, i w Solidarności, i później, kiedy rozdawał zupki…

– To było katastrofalne. Minister, który w początkach ustrojowej transformacji zastąpił politykę społeczną zupkami rozlewanymi osobiście na ulicach Warszawy. I jeszcze miał nadzieję, że po tej społecznej katastrofie zostanie prezydentem.

– Uczciwie trzeba powiedzieć, że potem za to przeprosił.

– Za chęć zostania prezydentem?

– Nie, za to, że podżyrował plan Balcerowicza. I że trzeba było złożyć inną propozycję, ale on nie był do tego przygotowany. Rzecz w tym wszakże, że takie propozycje były składane. Prof. Kowalik…

– I cała grupa ekonomistów pod przewodnictwem prof. Jana Mujżela, która pojechała do Szwecji i przygotowała raport o tym, jak wprowadzać szwedzkie rozwiązania w Polsce. Ale jak wrócili, to się okazało, że wybrano plan Balcerowicza.

– Rzecz w tym, że byli politycy OKP, którzy wiedzieli, że to błąd, i głośno o tym mówili: Karol Modzelewski, Ryszard Bugaj, Aleksander Małachowski – żeby wymienić tylko najbardziej znanych. I Kuroń też miał obowiązek wiedzieć, moim zdaniem. Nawiasem mówiąc, w tym nieszczęsnym filmie nie ma żadnego z nich. Nawet Modzelewskiego, który wszak był nieprzytomnie ważną postacią w życiu Kuronia. W zasadzie nie ma też Michnika, a Wałęsa się pojawia jakoś tak karykaturalnie.

– Muszę ci powiedzieć, że jesteś jedyną osobą, która ma tak złe zdanie o tym filmie. Kilkoro moich znajomych się wręcz zachwycało.

– Powiedziałabym, że nie znali Kuronia, ale nawet bez tej znajomości film jest nudny i płaski. W odróżnieniu od „Hamleta, ksiyncia Dynymarku”…

– No właśnie, miałaś opowiedzieć o Hamlecie po śląsku.

– Zachwyciłam się. Niekoniecznie ślōnsko godko, bo to mi się wydało nieco naciągane – kilka śląskich słów wciśnięte pomiędzy pentametr jambiczny. Ale scenografia i cały koncept estetyczny – zachwycające.

– I co w nich takiego zachwycającego?

– Kopalnia. Rzecz się dzieje na grubie, duch ojca pojawia się na pochylni, gdzieś z tyłu masz wyrobisko, nad sceną wisi wielkie serce z gorejącego węgla, ubrania sugerują mundury górnicze, no po prostu cudo. Choć może przemawia przez mnie moja miłość do hut i kopalni.

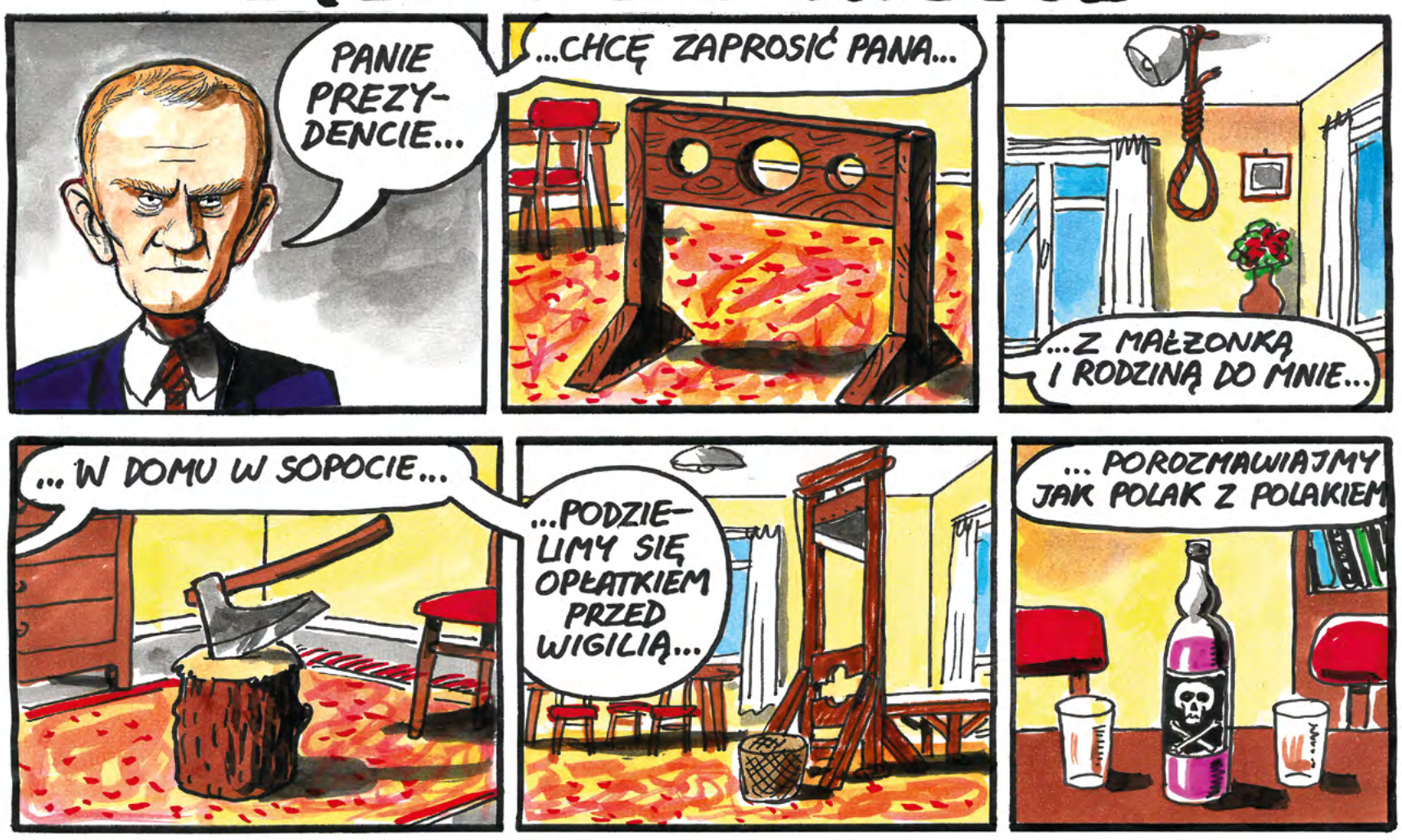
– Jak na lewaczkę przystało.

– A jak! To na koniec najważniejsze: czcigodni Czytelnicy z Zielonej Góry, powiatu zielonogórskiego, krośnieńskiego i świebodzińskiego: idźcie na wybory! Wasz głos nigdy nie ważył tak wiele co teraz!

– To prawda: to będzie głosowanie nogami. Przy niskiej frekwencji wygra ten kandydat, czyj elektorat się bardziej zmobilizuje. Liczę na Państwa.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 6bb0996a4b